

Drogi Czytelniku !

Wrzesień ma swoje szczególne miejsce w historii Polski, a tym razem nie sposób nie skupić się na tym, co wydarzyło się w naszym kraju przed trzydziestu laty. W czerwcu tego roku polskim Błogosławionym został ks. Jerzy Popiełuszko – kapelan „Solidarności”, męczennik za wiarę. Piszemy o tym...

Piszemy też o tym, że wino, podobnie jak człowiek posiada swoją własną indywidualność i w zależności od gatunku, rocznika, regionu i gleby żyje w nim niepowtarzalny duch.

Piszemy też i o tym, że każdy z nas zna z pewnością ludzi, których bez wahania jest gotów nazwać dobrymi, ale też każdy z nas zna ludzi prawdziwie podłych, którzy znajdują przyjemność w bólu i upokorzeniu innych. Nasza cywilizacja pozbyła się tabu i pozbyła się potrzeby winy.

Pomyślmy nad tym w aspekcie zbliżających się nowych ważnych wyborów – naszych polskich wyborów na Węgrzech.

Bożena Bogdańska-Szadai



Kedves Olvasó!

Aszeptembernek igen jelentős helye van Lengyelország történelmében, és ezúttal nem lehet nem gondolni a 30 évvel ezelőtt országunkban bekövetkezett eseményre. Ez év júniusában boldoggá avatták Jerzy Popiełuszko atyát, a Szolidaritás mozgalom lelkészét, a hit vértanúját – írunk erről...

Írunk arról, hogy a bornak, hasonlóan az emberhez, saját egyénisége van, s hogy a fajtajellegtől, az évről és a talajtól függően megismételhetetlen szellem lengi körül.

Arról is szólnak, hogy bizonyára mindenki ismer olyan embereket, akiket minden habozás nélkül jóknak nevezhet, de olyanokat is, akik igazán hitványak, és mások megalázásában lelik örömüket. Civilizációnk megszabadult a tabu és ugyanakkor a felelősség szükségétől.

Gondoljunk el a fentiekben a közelgő választások fényében – a mi magyarországi lengyel választásunk tükrében.

Bożena Bogdańska-Szadai

Budapest – Eger – Szabolcs – święto Węgierskiej Polonii.....	4 – 5
Derenk w Szögliget.....	6
„Wspólnota Polska” ma nowego prezesa.....	7
Komunikat Rady Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.....	7
Drzewiec katyński w Tatabánya.....	7
Solymár – spotkanie o godzinie „W”.....	8
Farkasrét – Balatonboglár.....	8
Polskie cmentarze i groby na Węgrzech.....	8
Nagrobki, groby, kopce Węgrów w Polsce (I. Kovács).....	9
Za Boga i Ojczyznę (ks. L. Kryża).....	10 – 11
Wolność czyni wolnym.....	11
To się wydarzyło 30 lat temu. „Solidarność” 1980 kalendarium wydarzeń.....	12
Határtalanul: Gdańskban megláttam a tengert (T. Trojan).....	13
Furaż Pegaza – Ludzie są dobrzy (ABRA).....	14 – 15
Jesień życia (M. Agoston).....	16
Pani Ada (BB. Szadai).....	17
Gawęda o winie (A. Szalai).....	18 – 19
To nie sztuka stworzyć nowy ciuch... (T. Szypulska).....	20 – 21
Węgierski znaczek pocztowy z okazji 200. rocznicy urodzin F. Chopina.....	21
Wiadomości konsularne.....	22
Informujemy.....	22
Kontakty.....	22



Budapeszt – Eger – Szabolcs - święto węgierskiej Polonii

Cykl uroczystości związanych z obchodami tegorocznego święta węgierskiej Polonii - Dnia św. Władysława odbył się w dniach 26 i 27 czerwca w Budapeszcie, Egerze i Szabolcsu.

WBudapeszcie, 26 czerwca, nastąpiło uroczyste przekazanie polskiej kwatery wojskowej cmentarza Rákoskeresztúr, gdzie dzięki wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, przy współpracy Konsulatu RP i Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. J. Bema na Węgrzech orestaurowanych zostało 108 grobów polskich uchodźców wojennych z lat 1939-1946. W uroczystości wzięli udział: Ambasador RP na Węgrzech Roman Kowalski, sekretarz ROPWiM dr Andrzej Kunert, kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski, senator RP Piotr Zientarski, dr István Simicskó sekretarz stanu w MON RW, dyrektor Instytutu i Muzeum Wojska Węgierskiego gen. József Holló, przedstawiciele władz stołecznych Budapesztu, radni polskich samorządów mniejszościowych z Haliq Csúcs przewodniczącą OSMF na czele, reprezentanci PSK im. J. Bema i SKP p.w. św. Wojciecha. Wszyscy goście w asyście polskiej Orkiestry Reprezentacyjnej Służby Granicznej i budapeszteńskiego historycznego Legionu Polskiego, przy udziale Polonii przybyłej między innymi z Budapesztu, Székesfehérváru, Kaposváru i Esztergomu, zwartą kolumną przeszli na polską kwaterę wojskową, gdzie uroczystość prowadził Konsul RP na Węgrzech radca Marcin Sokółowski. Okolicznościowe wystąpienia wygłosili panowie – ze strony polskiej dr Andrzej Kunert a strony węgierskiej dr István Simicskó, którzy podkreślali znaczenie i aktualność polsko-węgierskiej przyjaźni, dbałość o strzeżenie tożsamości narodowej i pielęgnowanie miejsc pamięci narodowej, jakim jest kwatera polskich uchodźców w Budapeszcie. Uroczystego poświęcenia kwatery cmentarnej w imieniu Ordynariatów Wojskowych Polski i Węgier dokonał ksiądz prałat płk Sławomir Żarski i ks. Tibor Berta oraz proboszcz Polskiej Parafii Personalnej na Węgrzech ks. Leszek Kryża SChr. Następnie odbyła się uroczystość składania wieńców. Zarówno w Budapeszcie, jak później w Egerze i Szabolcs, gdzie kontynuowane były obchody Dnia węgierskiej Polonii, obecna była wdowa po tragicznie zmarłym Andrzeju Przewoźniku – byłym sekretarzu ROPWiM, wybitnym przyjacielu węgierskiej Polonii i osobie, dzięki której między innymi odnowiono wiele polskich grobów na Węgrzech – pani Jolanta Przewoźnik z córką Julią. Przybyli również prawie wszyscy pracownicy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa z Warszawy.

Również 26 czerwca, na cmentarzu Kisasszony w Egerze odbyło się uroczyste poświęcenie odnowionej dzięki wsparciu ROPWiM, Konsulatu RP oraz miejscowego SMP, polskiej kwatery wojskowej z lat 1939-1946. W uroczystości tej udział wzięli przedstawiciele władz polskich i węgierskich, w tym m.in. Ambasador RP na Węgrzech Roman Kowalski oraz burmistrz Egeru László Habis, którzy wygłosili okolicznościowe przemówienia. Oprócz nich głos zabrał dr Andrzej Kunert – sekretarz ROPWiM oraz Jan Ciechanowski – kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Poświęcenia kwatery dokonali ksiądz płk Sławomir Żarski z polskiego Ordynariatu Polowego WP i pełniący posługę kapłańską w Egerze polski minoryta O. Artur Prenkiewicz,



który odczytał list nieobecnego na uroczystości biskupa egerskiego. Następnie złożono wieńce. Na egerski cmentarz przy ulicy Kisasszony przybyli przedstawiciele miejscowej Polonii, samorządów mniejszości polskiej na Węgrzech z przewodniczącą OSMF Haliq Csúcs. Gospodarzem uroczystości była przewodnicząca egerskiego SMP Jadwiga Floriańska, która między innymi powiedziała: „21-go września ubiegłego roku w ramach Dnia Polskiego obchodziliśmy również w Egerze 70-tą rocznicę przyjęcia uchodźców polskich na Węgrzech. Po klęsce wrześniowej podczas II wojny światowej fala uchodźców polskich znalazła schronienie na Węgrzech, w kraju, który oficjalnie reprezentował stanowisko polityczne Niemców. Na Węgry przybyło kilkadziesiąt tysięcy uchodźców, w większości żołnierzy i oficerów, którzy umieszczeni zostali w ok. 140 obozach, rozsianych w całym kraju.

Na papierze były to obozy dla internowanych, obozy jenieckie, a w rzeczywistości ich mieszkańcy żyli o wiele swobodniej.

W dniach 21-22-go września 1939 przybyło do Egeru ok. 300-400 uchodźców. Zostali oni umieszczeni na terenie dzisiejszego Muzeum Zamkowego im. Dobó. Podobnie jak w całym kraju, cieszyli się sympatią i życzliwością ludności cywilnej. Życie uchodźców w egerskim obozie przedstawia „Dziennik egerski”, którego autorem jest ówczesny komendant obozu Tadeusz Lachowicki-Czechowicz. W obozie organizowano imprezy kulturalne, działała szkoła, na której budynku w ubiegłym roku pani ambasador Joanna Stempińska odsłoniła tablicę pamiątkową. Dzięki wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz zaangażowaniu tragicznie zmarłego pana Andrzeja Przewoźnika odnowione zostały groby żołnierzy zmarłych w Egerze. Zaangażowanie i dzieło pana Przewoźnika pozostaną na zawsze w naszej pamięci. Dzisiaj zebraliśmy się tutaj, aby ponownie uczcić pamięć uchodźców, którzy w Egerze znaleźli miejsce wiecz-

nego spoczynku i aby poświęcić, pobłogosławić ich groby”. Ceremonii towarzyszyła Reprezentacyjna Orkiestra Polskiej Straży Granicznej, która w godzinach popołudniowych z dużym powodzeniem wystąpiła na głównym placu Egeru.

W Szabolcs 27 czerwca, w iście renesansowym klimacie obchodzono święto patrona węgierskiej



Polonii – imieniny św. Władysława. Tym razem – po raz pierwszy w 15-letniej historii – uroczystość odbyła się poza naddunajską stolicą i powędrowała do Szabolcs, gdzie zorganizowano ją wspólnie z Węgrami. Orszak królewski – bo Szabolcs zaszczylił nasz król Władysław z zącną małżonką – w sobotnich godzinach przedpołudniowych wyruszył z Budapesztu do Tokaju, (a niektórzy udali się po drodze do Egeru), aby następnego dnia rano, po degustacjach miejscowego węgryzyna, specjalnym statkiem, asystując świętej węgierskiej koronie, przybyć odświętnie Cisq do Szabolcs – małej miejscowości położonej w północno-wschodniej części Węgier, gdzie odbyło się najprawdopodobniej święto. W porcie rzeczny koronę, króla wraz z małżonką i cały towarzyszący mu dwór powitali licznie przybyli reprezen-



tanci węgierskich władz: poseł Zgromadzenia Narodowego Węgier László Karakó, przewodniczący Sejmiku Wojewódzkiego Oszkár Sesztár i wójt Dénes Lakatos. Towarzyszył im zaproszony specjalnie na tę okazję przez Polaków poseł ZN RW, sekretarz stanu w MON RP dr István Simicskó – po matce nasz Rodak. Stamtąd cały orszak w asyście husarów i węgierskiej orkiestry wojskowej przemaszerował na podzamcze, gdzie odbyła się oficjalna część uroczystości (na zdjęciu obok). István Simicskó w swoim wystąpieniu podkreślił, że do Szabolcs zjechaliśmy się, aby świętować polsko-węgierską prawdziwą przyjaźń. Odczytano list wiceministra spraw zagranicznych RP Jana Borkowskiego, a następnie odbyła się modlitwa ekumeniczna i składanie wieńców przy pomniku św. Władysława, znajdującym się przy pięknym, starym kościele reformackim. I właśnie tam odbyła się prawie wyłącznie polonijna część uroczystości, którą otworzyło wystąpienie Ambasadora RP Romana Kowalskiego. Następnie przewodnicząca OSMP Halina Csúcs powiedziała: „Św. Władysław był zawsze czczony w Polsce. Było to zapewne wynikiem trwałej przyjaźni między narodami polskim i węgierskim. Miejsce, w którym dzisiaj jesteśmy – Szabolcs – jest szczególnym również dla nas – osiadłych pomiędzy Cisą a Dunajem Polaków. Tu w 1092 roku nasz rodak, a król Węgier, podczas zjazdu ogłosił „Decretalia” – zbiór ustaw regulujących sprawy kościelne i państwowe. Było to blisko tysiąc lat temu, a przyjaźń pomiędzy obu naszymi narodami do dziś jest bezsprzecznym fenomenem na skalę światową. Żyjemy w kraju, który darzy nas sympatią i jak żaden inny w Europie, nie tylko nam Polakom, ale i pozostałym 12 mniejszościom zapewnił możliwość samorządności, pielęgnacji naszej kultury, języka i wiary. Pozwolił na zachowanie tożsamości. Pozwólcie Państwo, że w imieniu Polonii bardzo serdecznie podziękuję władzom Polski i Węgier, naszym polskim i węgierskim przyjaciołom, wszystkim ludziom dobrej woli za przychylność i za okazywaną nam pomoc”.

Tradycją stało się, że właśnie z okazji Dnia świętego Władysława Ogólnokrajowy Samorząd Mniejszości Polskiej na Węgrzech przyznaje doroczne nagrody.

W tym roku **Nagrodę św. Władysława otrzymał radca Marcin Sokołowski** – Konsul Rzeczypospolitej Polskiej na Węgrzech, którego zaangażowanie i wsparcie poczynaniom polonijnym okazywa-

ne w czasie minionych lat jego pracy w Budapeszcie zasługuje na szczególne wyróżnienie. Swoją pracą przyczynił się do sławienia dobrego imienia naszej Polonii również poza granicami Węgier. Na szczególne uznanie zasługuje jego współpraca z władzami i instytucjami po katastrofie polskiego autobusu nad Balatonem. Poprzez przyznawanie wspólnie z polską redakcją radiową nagrody „Polonus Roku” popularyzuje Polskę na Węgrzech, a Węgry w Polsce. Ma znaczny udział w nawiązywaniu kontaktów partnerskich pomiędzy Polską a Węgrami. Jest współinicjatorem podpisania umowy polsko-węgierskiej o ochronie miejsc pamięci narodowej i mogił wojennych. Współuczestniczył w przeprowadzeniu renowacji trzech polskich kwater wojennych na cmentarzach w Budapeszcie, Egerze i Budakeszi. Jest fundatorem wielu tablic i pamiątek polsko-węgierskich na Węgrzech. Był współorganizatorem cyklu imprez poświęconych 160-tej rocznicy węgierskiej Wiosny Ludów oraz 70-lecia polskiego uchodźstwa na Węgry. Współpracuje z samorządami polskiej mniejszości narodowej na Węgrzech.

Nagrody „Za Zasługi dla Węgierskiej Polonii” otrzymali:

* **Koło Polsko-Węgierskiej Przyjaźni z XVII dzielnicy Budapesztu**, które powstało w 2000 roku. Poza ważną działalnością polonijną w dzielnicy było organizatorem i współorganizatorem wielu znaczących uroczystości o zasięgu krajowym. Od szeregu lat z powodzeniem dba o tradycje polonijne w Rákossiget.

* **István Rémiás (młodszy)** – pełni funkcję przewodniczącego SMP w Sajószentpéter i członka zarządu Wojewódzkiego Związku SMP w woj. BAZ. Pomimo, że jest człowiekiem młodym – pochodząc z tradycyjnej rodziny derenczańskiej – szczególną wagę poświęca dbałości o podtrzymywanie tożsamości

narodowej najstarszej generacji węgierskiej Polonii. Od szeregu lat zaangażowany jest w prace związane z organizacją polsko-węgierskiego odpustu w Derenku. Opieką otacza tamtejszy cmentarz, zadbał o postawienie krzyża na ruinach wsi Derenk, przyczynił się do wydania książki o Polakach w Sajószentpéter. Nawiązuje polsko-węgierskie kontakty partnerskie, jest współorganizatorem olimpiady sportowej mniejszości z krajów V-4.

* **Wanda Mészáros** – od 40 lat jest działaczką Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. J. Bema na Węgrzech, w tym kilkakrotnie była członkiem zarządu tego stowarzyszenia. Inicjatorka wielu poczynań skierowanych na rzecz młodzieży i całego środowiska budapesztańskiego. Osiem lat temu została pierwszą laureatką nagrody redakcji radiowej – „Polonus Roku”. W pracy społecznej pomagała jej cała rodzina. Mąż Władysław oraz synowie Adam i Krisztian brali udział w życiu tego najstarszego na Węgrzech stowarzyszenia polonijnego.

Jak na prawdziwe święto przystało gości zaproszono do stołu, ale nie zabrakło też uciech dla ducha. Na dużej scenie występowały zespoły ludowe – nas reprezentowali „Białcanie” z Białki. Za pagórkami odbywały się pokazy sztuki rycerskiej w wykonaniu Polaków z woj. świętokrzyskiego: strzelanie z łuku, jazda konna, przejażdżki bryczkami i jarmark wyrobów artystycznych. W reformackich kościele zupełnie naturalnie została zaaranżowana polska msza świę-



ta, której w obrządku rzymsko-katolickim przewodził ks. prałat płk Sławomir Zarski, a w charakterze ministranta do mszy świętej służył senator Piotr Zientarski. Tam też można było obejrzeć wystawę fotogramów poświęconych postaci św. Władysława. Nie sposób wymienić tu wszystkich uciech, które czekały na przybyłych – obok miejscowych Węgrów Polonia z Budapesztu, Kaposváru, Egeru, Esztergomu, woj. BAZ i goście z Polski. Atmosfera, aura i humory dopisywały.

Współorganizatorami obchodów Dnia św. Władysława byli: OSMP, V Kompania Wojska Węgierskiego im. I. Bocskai, Komenda Wojewódzka Policji woj. Szabolcs-Szatmár-Bereg, służby graniczne, zaś gośćmi honorowymi panowie Roman Kowalski – ambasador RP na Węgrzech i Lajos Fodor – sekretarz stanu w węgierskim Ministerstwie Obrony Narodowej.

Bożena Bogdańska-Szadai

Derenk w Szögliget

Święci Tadeusz i Szymon u świętych Piotra i Pawła

Poczucie narodowej tożsamości i wiara w Boga sprawiają, że corocznie od 20 lat na ruinach najstarszej polskiej wsi na Węgrzech, zwykle w trzecią, a tym razem w Szögliget w czwartą niedzielę lipca na odpuszcie spotykali się potomkowie byłych derenczan. 25 lipca polsko-węgierską mszą świętą w kościele pw. św. św. Piotra i Pawła rozpoczął się doroczny odpust polonijny, którego organizatorem był Wojewódzki Samorząd Polski oraz Zrzeszenie Polskich Samorządów Mniejszościowych woj. Borsod-Abaúj-Zemplén, przy wsparciu OSMP, SMP z Emőd, Felsőzsolca, Ládbesenyő, Martonyi, Miskolca, Mucsony, Ózdu, Sajószentpéter, Szalonna, Szikszó, Szögliget i Tiszaújváros, a także przy wsparciu przewodniczącego Sejmiku Wojewódzkiego, Komisji Mniejszościowej woj. BAZ, Urzędów Burmistrzowskich z Emőd, Ládbesenyő, Sajószentpéter i Szögliget, Fundacji na rzecz Mniejszości Narodowych i Etnicznych na Węgrzech oraz osób prywatnych. Wśród zaproszonych gości obecny był przedstawiciel Ambasady RP na Węgrzech pan Grzegorz Kacprzyński, przewodnicząca OSMP dr Csúcs Lászlóné Halina, przedstawiciele władz lokalnych z burmistrzem Szögliget Katalin Mihalik Tóthné, goście z Podhala i Spisza, radni samorządów polskich na Węgrzech i delegacja budapeszteńskiej Polonii.

W tym roku gospodarzom szyki popsuka nieobliczalna aura. Nad ranem z soboty na niedzielę organizatorzy odpustu w strugach deszczu sprowadzili z derenzańskiej kapliczki jej patronów, świętego Szymona i Tadeusza, którzy w ten oto sposób – chyba po raz drugi w 20-letniej historii owych niecodziennych odpustów – stali się gośćmi Piotra i Pawła – patronów kościoła w pobliskim Szögliget. Organizatorom należą się słowa podziwu za bardzo sprawną „przeprowadzkę”. Wszyscy na czas wiedzieli, że msza, którą sprawowało aż

pięciu kapłanów – księża István Santa, Gábor Zajach, József Tresznayászki, Leszek Kryża SChr i Jan Byrski – odbędzie się w miejscowym kościele, a także i to, że po niej w wiejskim domu kultury przy zupie gulaszowej, winie i domowych wypiekach odbędzie się tradycyjne spotkanie. Nikomu tak naprawdę nie przeszkadzało, że miejsc siedzących nie starczyło dla wszystkich, bo przecież rozmawiać można było wszędzie, a to było chyba najważniejsze. Gospodynie uwijały się przy dzieleniu jadła, dwóch Istvánów Rémiaszów dwójiło się i troiło aby bezkolizyjnie panować nad sytuacją, a w tzw. „międzyczasie” przewodnicząca OSMP przekazała przedstawicielom SMP woj. BAZ koce zakupione przez byłego konsula RP na Węgrzech – radcę Marcina Sokółowskiego, który jeszcze w Szabolcs część otrzymanej nagrody św. Władysława przeznaczył na pomoc polonijnym powodziarom...

A wszystkiemu temu co się tam działo z największym oddaniem „matkowała” Jola Porosné. Z jednej strony dobiegał śpiew kobiet z „Polskiej Drenki” z drugiej góralska muzyka, bo z Czarnej Góry, Białki i Bukowiny Tatrzańskiej już po raz czwarty przyjechali górale, którzy wśród dawnych derenczan kilka lat temu znaleźli potomków swoich bliskich. Tak więc spotkali się tutejsi Rémiásze, Gogole, Bubenki i tamtejsi Remiasze, Gogole, Benbenki, którzy przywieźli też święty obraz do derenzańskiej kapliczki. Górale przyjechali już



dzień wcześniej, by nacieszyć się sobą, porozmawiać, bo jak mi powiedzieli oni naprawdę rozumieją „to drenkańskie godanie”.

W sobotę 24 lipca w Tiszaújváros odbył się dzień polski z ich udziałem, a goścący na nim wiceburmistrz miasta György Bráz w obecności przewodniczącej OSMP podkreślił starania miejscowego Samorządu Mniejszości Polskiej w pielęgnowaniu i popularyzowaniu polskiej kultury i tradycji, a także powiedział, iż samorząd ten jest najaktywniejszym spośród czterech istniejących tam samorządów mniejszościowych.

Czymże zatem dzisiaj jest ten derencki odpust? Dla jednego to najprawdziwsze pielgrzymowanie do ziemi ojców, dla innych wycieczka i spacer po parku narodowym. Modlitwa i zupa gulaszowa. Błoto po kostki i radość w sercu. Przemoknięte, na prędko umieszczone na szöglitańskiej ulicy odpustowe stragany bez piernikowych serduszek, ale z kogucikami na patyku, okolicznościowymi słodkościami. Ale i nachalne – zupełnie nie pasujące do atmosfery chwili – pomysły na igrzącą na ludzkich uczuciach kampanię wyborczą przyjezdnych, których dotychczas ani historia Derenku, ani losy tamtejszych ludzi tak naprawdę nigdy nie interesowały... Niesmak i niedowierzenie...

Tygiel sprzeczności, ale ponad wszystko wyczuwalna tradycja i chęć powrotu do korzeni... No i jeszcze coś: „A wie pani – powiedziała mi jedna z góralek – z tym deszczem to tak pewno miało być, bo przecież inaczej nie dowiedzielibyśmy się, jak otwarte serca mają pani burmistrz i zwykli mieszkańcy Szögliget...”

Bożena Bogdańska-Szadai



„Wspólnota Polska” ma nowego prezesa

Nadzwyczajne Walne Zebranie Delegatów Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, obradujące 13 czerwca br. w Domu Polonii w Warszawie, wybrało w tajnym głosowaniu na funkcję prezesa Stowarzyszenia Longina Komotowskiego.

Longin Komotowski (rocznik 1948) jest posłem niezrzeszonym. W wyborach parlamentarnych w 2007 r. uzyskał mandat posła na Sejm VI kadencji jako bezpartyjny kandydat z listy Prawa i Sprawiedliwości w okręgu szczecińskim liczbą 10 223 głosów. Od 1980 r. należy do NSZZ „Solidarność”. W czasie stanu wojennego działał w podziemnych

strukturach związk. W latach 1990-1998 był przewodniczącym zarządu NSZZ „Solidarność” Regionu Zachodniopomorskiego.

W połowie lat 90. inicjował powołanie Szczecińskiego Porozumienia Prawicy. Pełnił mandat posła na Sejm III kadencji z ramienia Akcji Wyborczej Solidarność, będąc jednym z liderów Ruchu Społecznego AWS. W latach 1997-2001 sprawował urząd ministra pracy i polityki socjalnej oraz wicepremiera w rządzie Jerzego Buzka. W roku 2000 został prezesem Polskiego Komitetu Paraolimpijskiego. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

(źródło: www.wspolnota-polska.org.pl)



Fot. J. Woroszyńska

Komunikat Rady Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie dotyczący zmian w Zarządzie Fundacji

Działając na podstawie §15 pkt. 5 Statutu Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie, w dniu 25 czerwca 2010 r. Rada Fundacji dokonała zmian w Zarządzie Fundacji. Na miejsce ustępującego Prezesa Fundacji p. Jerzego Marka Nowakowskiego, w związku z objęciem przez niego stanowiska Ambasadora RP na Łotwie, powołana została p. Olga Iwaniak. Do Zarządu powołana została również p. Małgorzata Rybarczyk. Fundacja pod nowym kierownictwem będzie kontynuowała wszystkie dotychczasowe programy w określonych Statutem kierunkach.

Posłanie Prezesa Fundacji:

Szanowni Państwo!

Rada Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” powierzyła mi zaszczytną funkcję kierowania Zarządkiem Fundacji. W imieniu Zarządu chciałabym zapewnić Państwa, że Fundacja pod nowym kierownictwem będzie realizowała wszystkie dotychczasowe kierunki działań i programy wspierania Polonii i Polaków na Wschodzie. Każda organizacja i każda parafia znajdzie w nas zaangażowanego i oddanego partnera. Wychodząc naprzeciw Państwa potrzebom, będziemy starali się zwiększyć środki skierowane na realizację poszczególnych programów. Chcielibyśmy, we współpracy z Państwem rozszerzyć możliwości finansowania



Fot. Kurier Galicyjski

Państwa działalności o środki unijne i pozaunijne. Chcemy służyć Państwu pomocą i profesjonalną radą w pokonywaniu procedur z tym związanych. Gotowi jesteśmy współuczestniczyć w nawiązywaniu szerokich kontaktów z polskimi środowiskami pozarządowymi, ułatwianiu dialogu z instytucjami publicznymi. Zależy nam, by Fundacja stała się

użyteczną i skuteczną platformą pomocy poprzez pozyskiwanie wiedzy i kontaktów oraz środków na realizację Państwa zamierzeń. W ten sposób chcemy przyczynić się do poprawy losów całego środowiska Polaków na Wschodzie. Drzwi Fundacji w Warszawie stoją przed Państwem zawsze otworem. Czekamy gotowi do pomocy i liczymy na dobrą współpracę.

W imieniu Zarządu Fundacji
Olga Iwaniak

Jednocześnie informujemy, że nowym Przewodniczącym Rady Fundacji został pan Jan Borkowski.

Drzewiec katyński w Tatabányi

W dniu 1 sierpnia br. w Tatabányi z inicjatywy miejscowego Stowarzyszenia Ochronnego w asyście tamtejszego SMP, odsłonięty został drzewiec kopijny poświęcony pamięci podwójnej polskiej tragedii katyńskiej z 1940 i 2010 roku. Dzieło artysty ludowego Ernő

Cs. Kissa jest pierwszym tego typu pomnikiem na Węgrzech.

Przypominamy, że w dniu 17 kwietnia br. w XI dzielnicy Budapesztu posadzono drzewo pamięci Lecha Kaczyńskiego i ofiar katastrofy z 10 kwietnia 2010 r. (red.)



Solymár – spotkanie o godzinie „W”

Już tradycyjnie Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema było organizatorem w dniu 1 sierpnia br. polonijnego spotkania upamiętniającego wybuch Powstania Warszawskiego na cmentarzu alianckim w Solymár koło Budapesztu, gdzie między innymi spoczywają prochy polskich lotników, którzy zostali zestrzeleni nad Węgrami, służąc w siłach RAF-u i w dniu 1 sierpnia 1944 roku lecieli na pomoc walczącej Warszawie. Uroczystość rozpoczęła hymny Polski i Węgier, zaś przy każdym z 37 polskich grobów w dowodzie pamięci i hołdu poległym zapalono znicze. Poza przedstawicielami Polonii obecni byli także: kierownik Referatu Konsularnego Ambasady RP w Budapeszcie – radca Anna Derbin oraz Attache Wojskowy – komandor Maciej Wikło z Małżonką, radni OSMP, reprezentanci Stowarzyszenia Katolików Polskich na Węgrzech pw. św. Wojciecha, PSK im. J. Bema, a także członkowie historycznego Legionu Polskiego.

Proboszcz Polskiej Parafii Personalnej na Węgrzech ks. Leszek Kryza SChr. wygłosił okolicznościową modlitwę, a warszawianka Apolonia Rybicka-Toldi – świadek wydarzeń sprzed 66 lat – podzieliła się swoimi osobistymi wspomnieniami. Następnie odbyła się ceremonia składania wieńców. Pełniąc funkcję gospodarza spotkania z ramienia PSK im. J. Bema prezes Halina Csúcs przypomniała, iż „Godzina „W” była początkiem Powstania Warszawskiego, największego niepodległościowego zrywu Armii Krajowej i największej akcji



zbrojnej podziemia w okupowanej przez hitlerowców Europie. Rozpoczęte 1 sierpnia 1944 roku, na rozkaz Komendanta Głównego AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”, miało w założeniach trwać kilka dni. Powstanie zakończyło się kapitulacją po 63 dniach walk. Tak znaczące wydarzenie w historii naszego kraju, jakim było Powstanie Warszawskie, jest ważne w życiu wszystkich Polaków, również tych żyjących poza granicami kraju, których szczególnym obowiązkiem jest dbanie o zachowanie historycznej pamięci kraju ojczystego.”

Bemowska tradycja zbierania się w dniu 1 sierpnia na cmentarzu w Solymár została zapoczątkowana przed sześciu laty. (b.)

Farkasrét – Balatonboglár

W 71. rocznicę wybuchu w Polsce II wojny światowej, 1 września, na budańskim cmentarzu Farkasrét, przy grobach wybitnych przyjaciół i obrońców Polaków z lat wojny, dr Józsefa Antalla (seniora) oraz płk. Zoltána Baló odbyła się uroczystość złożenia hołdu tym wielkim przyjaciołom Polaków. Na zaproszenie organizatora tych corocznych spotkań – Stowarzyszenia im. J. Bema na uroczystości przybyli: Agata Zajęga charge d'affaires Ambasady RP w Budapeszcie, kierownik Referatu Konsularnego Ambasady radca Anna Derbin, rodziny Antallów i Baló, przybyli z Polski „Boglarzczy”, przedstawiciele polskich stowarzyszeń, instytucji i samorządów mniejszościowych na Węgrzech oraz ks. Maciej Józefowicz.

Uroczystość prowadziła Halina Csúcs prezes PSK im. J. Bema. W swoim przemówieniu prezes podkreśliła obowiązek pamięci o wszystkich, którzy w czasie II wojny światowej pomagali przybyłym na Węgry Polakom. Następnie w asyście kompanii honorowej wojska węgierskiego i polskich legionistów przy obu grobach złożono wieńce i odmówiono modlitwy.

Dwa dni wcześniej, 28 sierpnia w Balatonboglár odbył się pogrzeb śp. Danuty Jakubiec. Zmarła jesienią 2009 r. Danuta Jakubiec została pochowana w Krakowie, ale zgodnie z jej życzeniem część jej prochów spoczęła na węgierskim cmentarzu w Balatonboglár.

Pani Danuta Jakubiec przez wiele lat była prezesem Stowarzyszenia Boglarczyków w Polsce, peł-

niąc tę funkcję do ostatnich chwil swego życia. Była honorowym obywatelem Balatonboglár.

(red.)



Polskie cmentarze i groby na Węgrzech

Ziemia węgierska kryje prochy wielu tysięcy Polaków. Polskie groby rozsiadane są po całym kraju i tak naprawdę chyba nikt do końca nie potrafi ich zliczyć. Budapeszt, Solymár, Budakeszi, Eger, Győr, Sárvár, Vasvár, Irszeg, Derenk i wiele innych. Myślę, że nie ma takiego cmentarza w tym kraju,



gdzie nie byłoby mogiły, na której widnieją polskie nazwiska, i bez wątpienia najwięcej polskich grobów pozostało tu po II wojnie światowej.

Aby rodacy mogli spoczywać w jednym miejscu przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego oraz PCK zwrócili się do ówczesnych władz węgierskich o przyznanie odpowiedniego terenu. Tak 5 września 1940 roku na cmentarzu w Rákoskeresztúr w X dzielnicy Budapesztu poświęcono pierwszych 17 grobów – były to jedne z pierwszych mogił kryjących prochy polskich uchodźców wojennych. W uroczystości tej uczestniczył między innymi prezes Komitetu Obywatelskiego ds. Opieki nad Polskimi Uchodźcami Henryk Sławik oraz pierwszy proboszcz parafii polskiej ks. Wincenty Danek, który 17 kwietnia 1945 roku tam właśnie został pochowany.

W 2009 roku dzięki staraniom i pomocy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie i osobistemu nieocenionemu zaangażowaniu ówczesnego Sekretarza tej Rady śp. Andrzeja Przewoźnika, przewodniczącej OSMP dr Csúcs Lászlóné Haliny i pełniącego w tym czasie funkcję Konsula RP na Węgrzech radcy Marcina Sokołowskiego, aż trzy polskie kwatery wojenne na Węgrzech doczekały się renowacji. W dniu węgierskiej Polonii (relacja w naszej gazecie) zostały uroczystość otwarte i poświęcone.

A zatem sprawy polskich śladów na węgierskich cmentarzach są nam już dość dobrze znane, ale prawie zupełnie nie wiemy nic o węgierskich śladach na polskich cmentarzach i stąd zamysł artykułu, którego autorem jest István Kovács, były Konsul RW w Polsce. (red.)

Nagrobki, groby, kopce Węgrów w Polsce

Wświadomości mojego pokolenia, czyli ludzi urodzonych w okresie II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych, zakorzeniły się nazwy trzech polskich miejscowości, symbolizujące ofiarność i bohaterstwo węgierskich żołnierzy walczących i poległych podczas I wojny światowej: Limanowa, Gorlice i Przemyśl. Opowiadali o nich nasi dziadkowie i wujowie oraz owdowiłe babcie i ciotce. O tym, że na terenie dzisiejszej południowej Polski znajduje się ponad czterysta cmentarzy wojennych z okresu I wojny światowej, na większości których – od Przemyśla po Kalwarię Zebrzydowską – spoczywają także węgierscy żołnierze, dowiedziałem się dopiero po 1989 roku.

Pierwszą uroczystością uświadamiającą węgierskiej opinii publicznej istnienie węgierskich cmentarzy wojennych z I wojny światowej były obchody 80-lecia bitwy pod Limanową w dniach od 9 do 11 grudnia 1994 roku. Wtedy po raz pierwszy od ponad pięćdziesięciu pięciu lat oficjalna delegacja węgierska złożyła wieńce i wiązanki kwiatów na grobach węgierskich żołnierzy, na cmentarzu wojennym na Jabłońcu (nr 368). W tym miejscu, gdzie poległ pułkownik Othmar Muhr, dowódca 9 pułku huzarów, wzniesiono pomnik a w centralnym miejscu cmentarza wybudowano kaplicę, w której został pochowany bohaterki dowódca. (Szczątki jego w międzywojennym okresie przeniesiono do grobowca rodzinnego na Węgrzech.) Poza nim na tym słynnym cmentarzu spoczywa w wiecznej ciszy ponad czterdziestu huzarów i kilkunastu honwedów.

Największy cmentarz wojenny (nr 122) został ulokowany na wzgórzu Pustki w pobliżu Łuźnej i Gorlic. Spoczywa tam 1204 żołnierzy, spośród których 649 – w tym 131 honwedów – ma pojedyncze groby. Żołnierze ci polegli 2 maja 1915 roku podczas przełamywania frontu gorlickiego i zdobywania Pustek. W kwietniu 2003 roku

wszystkie węgierskie groby zostały odrestaurowane przez Instytut i Muzeum Historii Węgierskiej Wojskowości. Poza nimi ponad 60 tysięcy żołnierzy węgierskich leży w pojedynczych albo zbiorowych grobach na terenie dawnej Zachodniej Galicji, ale również na Kielecczyźnie i na Lubelszczyźnie.

Cmentarze wojenne z I wojny światowej tworzą szczególną wartość zabytkową, bo projektowali je najlepsi architekci – jak Jan Szczepkowski, Dušan Jurkovič, Gustaw Ludwig, Ferenc Szabolcs – z Wydziałów Grobów Wojennych, utworzonych jesienią 1915 roku.



Niewielu żołnierzy węgierskich z okresu II wojny światowej ma indywidualne groby. Takie znajdują się w Podkowie Leśnej, Łosicach, w lasach kampskich i Rapczycach. Należący formalnie do wrogiej armii, żołnierze ci zasłużyli swoją ludzką postawą na dobrą pamięć Polaków. Część ich zginęła – jak w Podkowie Leśnej czy Łosicach – broniąc przed hitlerowcami zamieszkałymi tam Polaków. Ci ostatni utrzymują w porządku ich groby już od ponad sześćdziesięciu pięciu lat.

Ale niejeden zbiorowy grób żołnierzy węgierskich z II wojny światowej jest oznaczony i pielęgnowany przez Polaków. Największy z nich znajduje się pod Tarłowem. W październiku 1944 roku odcinek frontu między Tarłowem i Chotczą obsadzili Węgrzy, luzując oddziały niemieckie. Węgrzy obchodzili się z mieszkańcami według tradycji przyjaźni polsko-węgierskiej. „Czasy się zmieniły wyraźnie na lepsze” – wspomina ten okres tarłowianin, Wiesław Barański. Stąd miejscowa ludność otacza do dzisiejszych dni opieką masowy grób węgierskich żołnierzy, którzy polegli w okolicy Tarłowa między 20 października a 24 grudnia 1944 roku.

W powstaniu styczniowym brało udział ponad 400 węgierskich ochotników. Wielu z nich pojmano i wysłano na Sybir, wielu poległo „za naszą i waszą wolność”. Dwaj spośród nich mają nagrobki w formie kopijnika. Jeden z nich to major Edward Nyáry, który jako dowódca konnicy



oddziału pułkownika Lelewela-Borelowskiego został śmiertelnie ranny 3 września w bitwie pod Panasówką i został pochowany w pobliskim Zwierzyńcu. Drugi węgierski bohater, major Wallis, szef sztabu tego samego oddziału, poległ trzy dni później pod Batorzem razem ze swoim dowódcą. I Batorz, i Zwierzyniec leży na południowej Lubelszczyźnie.

Najsłynniejszy pomnik nagrobny związany z historią Węgrów zdobi grób króla Stefana Batorego, pochowanego w 1588 roku w katedrze wawelskiej, w kaplicy Mariackiej. Ufundowała go wdowa po królu, Anna Jagiellonka. Pracę artystyczną wykonał Santi Gucci. W tej samej katedrze w kaplicy Zygmuntowskiej spoczywają prochy królowej św. Jadwigi, ale nie w marmurowym sarkofagu, tylko w brązowej skrzyni stojącej pod czarnym krzyżem na ołtarzu Chrystusa Ukrzyżowanego, który według legendy z nią rozmawiał.

Mniej znany jest fakt, że syn poety Bálinta Balassiego, János Balassi jest pochowany na terenie Polski. Zmarł on w szesnastym roku swego życia, w 1601 roku, jako uczeń gimnazjum św. Elżbiety. Nagrobek, znajdujący się we Wrocławiu, w kościele św. Marii Magdaleny i zawierający krótką historię rodu Balassich, wznosił opiekun Jánosa, Ferenc Dobó.

W kościele franciszkańskim w Barczewie – w pobliżu Olsztyna – od lat 1980. znowu można oglądać renesansowy nagrobek Andrzeja i Baltazara Batorów, zbudowany pod koniec XVI wieku przez biskupa warmińskiego, Andrzeja – zresztą kandydata króla Stefana na tron polski. To jednak symboliczny grób, bo zamordowanych książąt siedmiogrodzkich – Andrzeja i Baltazara – pochowano w Siedmiogrodzie.

Jednym z najpiękniejszych pomników nagrobnych jest manierystyczny nagrobek hetmana Jana Tarnowskiego i jego pierwszej żony, Zsuzanny Seredy. Został on wybudowany w katedrze tarnowskiej. Na miejskim cmentarzu w Tarnowie pochowano w 1995 roku Norberta Lippóczygo, potomka słynnego rodu producentów wina z Tállya i założyciela Towarzystwa Przyjaciół Węgier im. Józefa Bema, działającego od 1956 roku do dni dzisiejszych.

Choć nie tak ogromny jak kopiec Kościuszki czy Piłsudskiego, usypano w Polsce także kopiec dla Węgrów. Spoczywają w nim żołnierze węgierscy z pułku im. Máriassygo, którzy jesienią 1848 roku „odmówili posłuszeństwa cesarzowi i pośpieszyli na pomoc swej ojczyźnie”. W oddziale, który zatrzymał się we wsi Liplas, leżącej w pobliżu Wieliczki, było wielu chorych. Tych, którzy tu zmarli, pogrzebano we wspólnej mogile. Miejscowi właściciele na ich grobie usypali kopiec, na którego wierzchołku postawili krzyż, przechowujący do dzisiejszych dni pamięć o zmarłych węgierskich żołnierzach.



Za Boga i Ojczyznę



Co pewien czas Kościół wynosi na ołtarze kolejne postacie, czyli ogłasza ich Błogosławionymi i Świętymi Kościoła Katolickiego.

Beatyfikacja bądź kanonizacja jest uroczystą aprobatą Kościoła dla najwinniejszych naśladowców Chrystusa, jest – jak uczy Katechizm Kościoła Katolickiego – uznaniem heroicznych cnót i wierności łasce Bożej. Kościół w akcie beatyfikacji czy kanonizacji uznaje w ludziach działanie Ducha Świętego po to, by byli wzorem dla innych i orędownikami.

Najnowszym polskim Błogosławionym został ks. Jerzy Popiełuszko (1947–1984), kapelan „Solidarności”, męczennik za wiarę. Dekret beatyfikacyjny został odczytany 6 czerwca br. podczas uroczystej Mszy św. na Placu Piłsudskiego w Warszawie.

Często wyobrażamy sobie świętych jako ludzi bez skazy, załamania i grzechów. Ale cóż to byłaby za świętość, która opierałaby się na cnotach ludzkich? Bóg nie byłby wówczas do niczego potrzebny. Na czym miałyby polegać wytrwanie, jeśli przychodziłoby bez trudu, obaw, bez słabości? I św. Paweł nie był od nich wolny, o czym świadczą Listy, gdyż „moc w słabości się doskonali”. Gdy człowiek idzie z Bogiem ku Ziemi Obiecanej, „rośnie w drodze jego siła”.

Jaki był bł. ks. Jerzy, czym zasłużył sobie na świętość, wreszcie czy jego postawa może przemawiać do młodych ludzi, dla których „tamte czasy” są znane tylko z lekcji historii bądź opowiadań starszych?

Żeby przybliżyć postać ks. Jerzego posłużę się autentycznym wspomnieniem prof. Anny Szaniawskiej, wówczas działaczki Prymasowskiego Komitetu Pomocy Więzionym, Internowanym i ich Rodzinom.

„W tym czasie znali się już z moim mężem. Klemens systematycznie chodził na procesy robotników „Ursusa” i Huty Warszawa. Kiedyś z ubolewaniem mówił mi: „wyobraź sobie, na sali było kilku aktorów, ale tylko jeden ksiądz” – właśnie Jerzy Popiełuszko. Na sali sądowej rodziła się ich przyjaźń – profesora logiki i księdza. Odważyć się powiedzieć, że było to nawet coś więcej niż przyjaźń – raczej miłość, miłość syna do ojca i ojca do syna. Klemens był niewierzący, ale przez przyjaźń z Jerzym jakoś przybliżył się do Kościoła (a trzeba powiedzieć, że nie rozmawiali o Panu Bogu: Jurek

nie próbował nikogo nawracać...). Dla mnie to było coś wzruszającego, bo choć otwarty, mój mąż nie był człowiekiem, który łatwo „kupował” i dawał przyjaźń. A jednak coś musiało się w nim przełamać i on autentycznie tego chłopaka pokochał.

Dzisiaj kreuje się go na jakąś udrapowaną wielkość, a my przecież obserwowaliśmy, jak rósł każdego dnia. Gdy przyszedł do seminarium bardzo źle mówił po polsku. Urodzony w Okopach, wsi na Białostocczyźnie, miał nawet kompleksy na tym tle i milczał, a klerycy się z niego śmiali. Pamiętam Mszę za Ojczyznę, na którą spóźniliśmy się po wizycie w przyjaciół i zostaliśmy na zewnątrz, z Pawłem Czartoryskim i Kazimierzem Dziewanowskim. „Jak to jest – mówił wtedy Paweł – że ten chłopak z miesiąca na miesiąc tak dojrzewa? Przecież każde jego kazanie jest bogatsze: językowo, treściowo, ideowo”. To zjawisko fascynowało do tego stopnia, że autorstwo kazań przypisywano komuś innemu. Nawet ludzie dobrze znający Jurka pytali czasem, czy to nie Klemens je pisze. Prostowałam, jak mogłam, bo przecież to była jego samodzielna praca – czasem tylko przychodził, prosił Klemensa, żeby zerknął, czy coś nie przekracza jego poczucia smaku, czy nie przeszarżował...

Skromność Jerzego: pamiętam kontrast między nim a księdzem Jankowskim. Proboszcz św. Brygidy już wtedy otaczał się przepychem, a Jurek mieszkał w małym pokoiku, za przepierzeniem, gdzie, żeby oglądać telewizję, trzeba było wejść na tapczan (bo tylko tapczan się tam mieścił). Ale mówił o Jankowskim z podziwem: „no, on to jest panisko”. Był dumny, że taki słynny ksiądz w ogóle z nim rozmawiał. Inny przykład: gdy było 40-lecie powstania w getcie, ktoś zwrócił się do mnie z prośbą, by Jurek odprawił Mszę w intencji poległych Żydów. A Jurek powiedział, że jest niedouczony: nic nie wie o Holokauście, o Żydach... U niego na wsi się o tym nie mówiło, podobnie w seminarium, więc poprosił, żeby znaleźć kogoś, kto podczas Mszy powie coś o samym wydarzeniu. „Ja nie mogę być w fałszywej roli, mówić coś, czego nie czuję, to jest zbyt ważna sprawa”. Zachwycił mnie, że się tak do tego przyznał. O wykład na temat Zagłady – wykład, który odbył się w trakcie Mszy – poprosiliśmy Jana Józefa Lipskiego.

Kiedy rozmawialiśmy o polityce, Jurek nie

mówił z pozycji działacza czy przywódcy mas. Nie chcę lukrować jego postaci, ale w nim naprawdę nie było ambicji do władania duszami. Czuł się odpowiedzialny za powierzone mu środowisko – za pielęgniarki, hutników, do których trafił niemalże przypadkiem (bo nie bardzo miał kto pójść do strajkujących...). Zabiegał o nich, dbał, wiedział o każdej rodzinie, która jest w potrzebie. Kiedy przychodził do Komitetu prosić o pomoc, mówił: „jak nie dacie, to ukradnę”. Zdumiewał się, że na Msze za Ojczyznę przyjeżdżają aż takie masy z całego kraju.

Był lojalny wobec swoich podopiecznych. Pamiętam, że byłam kiedyś na „jego” niedzielnej Mszy o dziesiątej rano. W czasie kazania oznajmił, że zgłosił się do niego robotnik z Huty Warszawa, który zwierzył mu się, że przymuszony zgodził się na współpracę z UB. Jurek przeczytał jego oświadczenie: „Pragnę Księdza poinformować, że czując się poniżony w stosunku do swojej godności ludzkiej wymuszeniem na mnie napisania oświadczenia, żadnej współpracy prowadzić nie zamierzam. Proszę Księdza o rozpowszechnienie mojego listu, Łaskawiec Wiesław, pracownik działu »tt« Huta Warszawa”.

Pode mną ugięły się nogi. Myślałam „Chryste Panie, tu jest mnóstwo ubecji, tego człowieka nie ruszaj, bo już podał swoje imię i nazwisko, więc jest jakoś chroniony (skądinąd odwaga i uczciwość tego robotnika – niebywała!), ale Jurek podpisał na siebie wyrok śmierci”. Po Mszy podbiegłam do niego wołając: „Jurek, coś ty zrobił”. Odpowiedział: nie mogłem inaczej, nie mogłem zawieść zaufania tego człowieka.

Czy się bał? Po ludzku się bał. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, że nie powinien wracać od nas sam – niby to tylko dwa przystanki, ale trzeba iść ulicą Krasińskiego: czy się nie boi, że ktoś wyjdzie z zaułka, da mu w głowę? (To było już po tym, jak wrzucili mu do mieszkanka cegłę z ładunkiem wybuchowym.) Zabrzmi to patetycznie, ale tego nie zapomnę: „Aniu, wcześniej czy później ja zginę”. Odpowiedziałam: „to lepiej później niż wcześniej”. „To już w rękach Pana. Zresztą cóż jest wspanialszego dla księdza niż zginąć za Boga i Ojczyznę?” – wszystko takim normalnym, naturalnym głosem. Odprowadziliśmy go wtedy, a on powtarzał, że nie może tak żyć, ciągle otoczony kokonem.

Ludzie mnie pytają, po której stronie byłby dzisiaj ksiądz Jerzy. Samo pytanie jest porażające, bo już zakłada dzielenie. Opowiadam wtedy, jak go pamiętam i proponuję: sami osądzcie, do kogo byłoby mu bliżej. Nie chcę go szufladkować. Myślę, że byłby dziś głęboko nieszczęśliwy. Miał taką idealistyczną wizję „Solidarności”, próbował godzić zwaśnione nurty opozycji – myślę, że patrząc na tę obecną nienawiść, czułby się źle. Przecież gdy mówił „zło dobrem zwyciężaj”, to nie był frazes. W pierwszą Wigilię stanu wojennego przyszli do nas z parafii św. Stanisława Kostki, że wszędzie szukają księdza Jerzego. Co się okazało: Jurek wziął opłatki i jeździł po Warszawie, dzielił się z żołnierzami, którzy kłękali na śniegu, spowiadali się, płakali, całowali go rękami, że ich nie potępią, tylko przychodzi z dobrym słowem...

Jurek nie był intelektualistą, a skupiał wokół siebie paletę ludzi wybitnych, patrzących w niego jak w obraz. Myślę, że przyciągała ich jego normal-



ność, jego człowieczeństwo i jego – dla nich – niepojęta odwaga. Wiem, że dziś toczy się proces beatyfikacyjny Jurka i... jakoś mi dziwnie. Nie wiem, jakie warunki powinien spełnić kandydat na ołtarze, znałam go jak brata, kochałam i podziwiałam, a przecież mi się w takim tradycyjnym obrazie świętego nie mieści. Zbyt był normalny”.

Oddajmy też głos bł. ks. Jerzemu, oto fragment jednego z jego kazania:

„Odwaga jest postawą często potrzebną, a nawet konieczną, ciągle bowiem człowiek musi walczyć o wartości nadające sens jego życiu. Odwaga to cnota w walce. To warunek podejmowania walki. Walka o dobro jest obowiązkiem każdego chrześcijanina. Cała postawa Kościoła w walce polega na tym, że walczy o wolność do prawdy. Moralną miarą odwagi jest gotowość poświęcenia wartości osobistych w imię dobra innego człowieka, jednostki czy społeczeństwa.

W ciągu półwiecza XX wieku spędziliśmy wśród szczęką broni dziesiątki lat. Patrzyliśmy na ludzi uzbrojonych po zęby... Widzieliśmy tysiące poległych żołnierzy, o czym przypomina nam w szczególności miesiąc sierpień z roku 1920 i 1944. Przeżyliśmy śmierć olbrzymów, dyktatorów, autokratów, jedynowładców. Rządy zmieniały się jak liście na drzewach. Przeszliśmy się bać luf karabinów i armat. Człowiek uzbrojony nie budzi w nas ani lęku, ani szacunku. Co więcej, bardziej bohaterki wydaje się nam człowiek bezbronny niż uzbrojony. Dzisiaj świat nie szanuje mocarzy, którzy są uzbrojeni po zęby, choć wiele krzyczą o pokój. Dzisiaj świat bardziej szanuje mocarzy myśli, woli i serca. Tylko tacy mocarze mogą stanąć do walki o lepsze.

Potrzebne nam męstwo przeopjone miłością, które uzdolni do walki o wartości, za którymi tęskni świat”.

Przytoczę jeszcze słowa zaprzyjaźnionej z nim nieżyjącej już aktorki Romy Szczepkowskiej, która po śmierci Jurka napisała: „Była w Tobie ta busola, która dawała nam wszystkim, Twoim przyjaciółom, poczucie moralnego bezpieczeństwa. Jedni nazywają to wielkością. Inni charyzmą. Inni już dziś świętością. Dla mnie było ulgą, że byłeś”.

Na koniec fragment zapisków księdza z końca grudnia 1983 r.: „Dzisiaj przed obiadem o 12.00 poszedłem odmówić różaniec w kościele na chórze. Błogosławiona cisza. Nad amboną złoty krzyż. Od czasu do czasu wpadał promyk słońca i krzyż rozjaśniał się złotą, ciepłą poświatą. Potem nastąpił mrok. Boże, jak bardzo podobne jest ludzkie życie, szare, trudne, czasami ponure i byłoby często nie do zniesienia, gdyby nie promyki radości, Twojej obecności, znaku, że jesteś z nami, ciągle taki sam, dobry i kochający”.

ks. Leszek Kryża SChr.

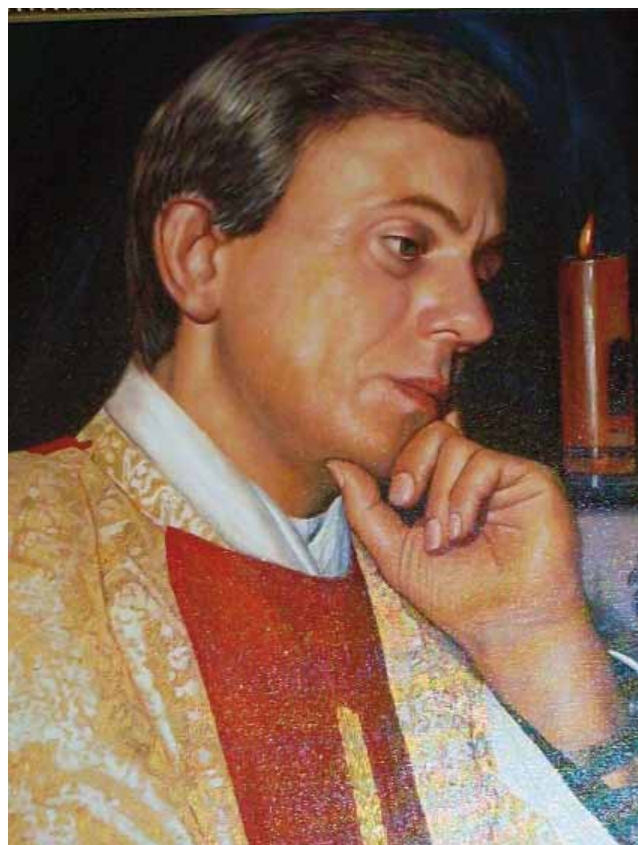
Wolność czyni wolnym

W dniu 22 czerwca w auli Wyższej Szkoły Nauk Teologicznych w Budapeszcie odbyła się pierwsza publiczna prezentacja węgierskojęzycznego wydania książki Imrego Molnára pt. „Az Igazság Szabaddá Tész. Boldog Jerzy Popiełuszko lengyel mártirpap élete és halála” co w języku polskim znaczy: Wolność czyni wolnym. Życie i śmierć polskiego męczennika, błogosławionego Jerzego Popiełuszki.

Organizatorami spotkania, na które licznie przybyli przedstawiciele elit intelektualnych Węgier, duchowni, historycy, Polonofile i przedstawiciele Polonii, byli: Magyar Egyháztörténeti Enciklopédia Munkaközösség (METEM) i Fundacja Historia Ecclesiastica Hungarica. Wśród moderatorów oprócz autora książki, znaleźli się Węgrzy i Polacy w osobach: ks. abp Juliusza Janusza – Nuncjusza Apostolskiego na Węgrzech, Seweryna Jaworskiego – polskiego opozycjonisty i działacza związkowego, założyciela powstałego w 1993 roku ChNSZZ „Solidarność” im. Ks. Jerzego Popiełuszki, dr Tibora Pákha – członka polsko-węgierskiej „Solidarności” oraz historyków: Istvána Zombori i Györgya Gyarmati. Obecna była również węgierska artystka – malarka Veronika M. Simon, która podarowała społeczności parafialnej skupionej wokół kościoła p.w. św. Władysława w Lajosmizse namalowany przez siebie portret ks. Jerzego Popiełuszki. Uroczystego odsłonięcia tego obrazu dokonał burmistrz III dzielnicy Budapesztu Balázs Bús.

Książka Imrego Molnára jest pierwszym wydawnictwem na Węgrzech, które szerzej przybliży sylwetkę błogosławionego Jerzego Popiełuszki.

(red.)



To się wydarzyło 30 lat temu

„Solidarność” 1980 – kalendarium wydarzeń

SOLIDARNOŚĆ



1 lipca – rządząca PRL ekipa Edwarda Gierka wprowadziła podwyżki cen niektórych gatunków mięsa i wędlin. Wybuch strajków m.in. w WSK PZL Mielec, POMET w Poznaniu i Transbud w Tarnobrzegu.

8 lipca – rozpoczął się strajk w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego PZL – Świdnik, w czasie którego obok postulatów ekonomicznych pojawiły się żądania o charakterze politycznym. Strajk w Świdniku zapoczątkował wielką falę strajkową na Lubelszczyźnie, trwającą do 25 lipca.

18 lipca – strajk generalny w Lublinie.

20 lipca – komisja rządowa pod przewodnictwem wicepremiera i członka Biura Politycznego KC PZPR Mieczysława Jagielskiego uznała żądania strajkujących. Podpisane zostało porozumienie, zgodnie z którym władza zagwarantowała podwyżki płac.

14 sierpnia – w kilku wydziałach stoczni pracownicy przerwali pracę; bezpośrednim powodem było żądanie przywrócenia Anny Walentynowicz do pracy. Powstał Komitet Strajkowy. Stocznioy domagali się też przywrócenia do pracy Lecha Wałęsy, zbudowania pomnika ofiar masakry robotników z grudnia 1970, podwyżki płac, dodatku drożyznianego, wyrównania dodatków rodzinnych do wysokości, w jakiej otrzymywała je milicja, gwarancji nierepresjonowania strajkujących. Powstała straż robotnicza, która nie dopuszczała ludzi z zewnątrz do stoczni.

15 sierpnia – strajki rozszerzyły się na inne zakłady Trójmiasta.

16 sierpnia – dyrekcja gdańskiej stoczni zgodziła się na podwyżki, ale nie chciała zagwarantować ich na piśmie. Powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS).

18 sierpnia – w Szczecinie powstał MKS. Jego przewodniczącym wybrano Mariana Jurczyka. Szczeciński MKS przedstawił listę 36 postulatów.

19 sierpnia – MKS zażądał od premiera Edwarda Babiucha podjęcia rokowań. MKS reprezentował już ponad 150 zakładów, w których trwały strajki okupacyjne.

20 sierpnia – Jan Paweł II w depeście do prymasa Polski Stefana kardynała Wyszyńskiego zapewnił o modlitwie, „aby Episkopat Polski ze swym Prymasem na czele (...) mógł również i tym razem dopomóc temu Narodowi w ciężkim zmaganiu się o chleb powszedni, o sprawiedliwość i zabezpieczenie jego nienaruszalnych praw do własnego życia i rozwoju”.

21 sierpnia – do Gdańska przyjechała Komisja Rządowa z wicepremierem Mieczysławem



Jagielskim, który próbując pominąć MKS zaproponował tzw. rozmowy branżowe. Delegacja rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Kazimierza Barcikowskiego rozpoczęła rozmowy z MKS w Szczecinie. Początek strajku w Hucie im. Lenina w Krakowie.

23 sierpnia – Lech Wałęsa wezwał do zaprzestania represji wobec osób wspomagających strajk. Ukazał się pierwszy numer Strajkowego Biuletynu Informacyjnego „SOLIDARNOŚĆ”.

24 sierpnia – spotkanie Prezydium MKS z przybyłymi do Stoczni Gdańskiej sygnatariuszami apelu intelektualistów. Przy MKS powstała komisja ekspertów, w skład której weszli: Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Tadeusz Kowalik, Andrzej Wielowiejski, Jadwiga Staniszkis, Waldemara Kuczyński, Bohdan Cywiński. Rada Państwa odwołała ze stanowiska prezesa Rady Ministrów Edwarda Babiucha i powierzyła pełnię obowiązków premiera Józefowi Pińkowskiemu.

25 sierpnia – Biuro Polityczne KC PZPR powołało specjalną Komisję do spraw Polski. Jej przewodniczącym został Michaił Susłow.

28 sierpnia – w Gdańsku ciąg dalszy rozmów z komisją rządową. Początek strajku w kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu.

30 sierpnia – w Szczecinie Kazimierz Barcikowski i Marian Jurczyk podpisali porozumienie. W całym kraju narasta fala strajków.

31 sierpnia – w Gdańsku podpisywane są kolejne punkty z listy 21 postulatów. Przy punkcie „zwolnienie więźniów politycznych” MKS dodał

aneks z nazwiskami aresztowanych w ostatnich dwóch tygodniach. Jagielski nie chciał zgodzić się na pisemną gwarancję, że członkowie i współpracownicy KOR wyjdą natychmiast z aresztu. Wobec zdecydowanej postawy MKS Jagielski oświadczył, że zostaną oni zwolnieni 1 września. Po uzgodnieniu kolejnych postulatów o godz. 17 w sali BHP Stoczni Gdańskiej podpisane zostało porozumienie między komisją rządową a MKS, reprezentującym już ponad 700 zakładów z całej Polski.

1 września – strajkujące zakłady w Gdańsku, Szczecinie i Elblągu podjęły pracę; strajkowały jeszcze kopalnie na Górnym Śląsku.

3 września – podpisanie porozumienia w Jastrzębiu; śląskie kopalnie wznowiły pracę.

5-6 września – podczas VI Plenum KC PZPR „w związku z chorobą (zawał serca)” z funkcji I sekretarza KC PZPR odwołano Edwarda Gierka. Jego następcą na tym stanowisku został Stanisław Kania.

17 września – na spotkaniu przedstawicieli MKZ w Gdańsku zapada decyzja o utworzeniu Niezależnego Samorządowego Związku Zawodowego „Solidarność”. Do życia została powołana Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” pod kierownictwem Lecha Wałęsy.

24 września – w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie został złożony wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku.

3 października – w wielu zakładach pracy na wezwanie „Solidarności” odbył się jednogodzinny strajk, jako protest przeciwko opieszałości we wprowadzaniu w życie Porozumień Sierpniowych.

4-6 października – podczas drugiej tury VI Plenum KC PZPR przedstawiono informację o przebiegu strajków: w ciągu trzech miesięcy strajki objęły 2 tys. zakładów i ok. 1,2 mln pracowników.

24 października – sąd zarejestrował NSZZ „Solidarność”, ale sędzia Zdzisław Kościelniak dopisał do statutu związku ustęp o „kierowniczej roli PZPR”. „Solidarność” nie zgodziła się z tym, ogłosiła gotowość strajkową na 12 listopada i odwołała się do Sądu Najwyższego.

10 listopada – rejestracja przez Sąd Najwyższy w Warszawie NSZZ „Solidarność” ze statutem w oryginalnym brzmieniu.

16 grudnia – w Gdańsku odsłonięto pomnik stoczniovców zabitych podczas wydarzeń grudniowych w 1970 r.

Gdańskban megláttam a tengert, és hihetetlen hatást gyakorolt rám..

Kálmán Judit tolmács, műfordító, szinkron dramaturg. Magyar lektorként dolgozott a krakkói és a varsói egyetemen is: akkori tanítványai közül nem egy a magyar-lengyel kapcsolatok erősítésén fáradozik. Számos lengyel filmet és színdarabot fordított, a filmfordítás nehéz tudományával pedig igyekszik megismertetni az érdeklődő hallgatókat is. Szereti a lengyel konyhát, ahol elsősorban a bigos a „sztár”. Félévente jön rá a „mehetnék”, és akkor muszáj elindulnia Lengyelországba...

Judit Kálmán jest tłumaczka, w tym tekstów literackich, oraz specjalistką od opracowywania dubbingu. Pracowała jako lektorka języka węgierskiego na uniwersytecie w Krakowie i w Warszawie: nie jeden z jej studentów pracuje nad uściśleniem polsko-węgierskich kontaktów. Przetłumaczyła liczne polskie filmy i sztuki teatralne, trudną wiedzę o tłumaczeniu filmów wyklada zainteresowanym nią studentom. Lubi polską kuchnię, gdzie „gwiazdą” jest właśnie bigos. Co pół roku nachodzi na nią nieodparta chęć wyjazdu do Polski...

Trojan Tünde: *Krakkóban, mielőtt személyesen is találkoztunk volna, egy közös ismerősünk, Dósa Márta beszélt először rólad. Lengyelországi történeted azonban még jóval a találkozásunk előtt kezdődött...*

Kálmán Judit: Krakkóba nagyon érdekes módon kerültem. Abban az időben már férjnél voltam, a férjem lengyel volt. Ő az ELTE elvégzése után visszament Lengyelországba, én pedig a lányommal itt éltem Magyarországon. A helyzet elég kilátástalannak látszott. Lakásunk nem lévén, a szüleimnél laktunk. Egy alkalommal a Lengyel Kulturális Intézetben voltam egy rendezvényen, ami meglehetősen érdektelenre sikeredett. Akkoriban tolmácsként dolgoztam, és bár az éhhalál nem kerülgetett, nem volt könnyű a helyzetem. Egy adott pillanatban egyszerűen felálltam, és kisétáltam arról a rendezvényről. Kovács István - akit gondolom, nem kell bemutatni - utánam futott, és azt kérdezte, nem akarok-e magyar nyelvű lektor lenni Krakkóban. Meglepő ajánlat volt, de miután mindennemű felkészültséggel - magyar szak, illetve a magyar, mint idegen nyelv specializáció - rendelkeztem, igent mondtam. Az előző lektor - teljesen érthető módon - akkor hagyta el Krakkót, amikor bevezették a hadiállapotot. A Jagelló Egyetemen akkoriban még nem létezett magyar tanszék, a magyar nyelv az orientálistika tanszéken belül működött, ahol engem, mint lektort nem fogadtak. Így kerültem végül az Idegennyelvi Lektorátusra, ahol nagyon kellemes légkör és rendkívül érdekes munka várt rám. A különféle nyelvi kurzusok vezetésén túl a legfurcsább kérdésekkel kerestek meg az emberek, tekintettel arra, hogy akkor még nem működött Krakkóban konzulátus. Egy alkalommal például arról érdeklődtek, hogy loval, milyen feltételek mellett lehet átlépni a magyar határt, mert hagyományörző lovas túrára szerettek volna indulni. Ez a fajta „építkezés” egy izgalmas, jó időszak volt. Az egyetem kollégiumában lakások álltak a tanárok rendelkezésére, és így a férjemmel ez volt az első lakásunk. A lányom azon a dombon lévő óvodába járt, ahonnan - mint tudjuk - Twardowski felrepült a Holdra. A mindennapok ellátási nehézségeit - őszintén mondom - mára már elfelejtettem, a helyzet a jegyrendszer ellenére sem volt kilátástalan. Az akkori hallgatóim közül pedig akad olyan, akivel a mai napig jó kapcsolatban vagyok. Ennek a helyzetnek azonban egy szomorú és váratlan esemény vetett véget. Egy ízben, télen jöttünk haza szabadságra, és már Magyarország területén jártunk, amikor a férjem el akart kerülni egy kamionnal való ütközést, megcsúsztunk, a kocsit felfordult. Szerencsére a lányomnak nem lett semmi baja, én azonban elég komolyan megsérültem. Négy műtét és egy elég hosszú tartó rehabilitáció volt a következmény. Miközben a rehabilitáció zajlott, jött egy ajánlat, hogy menjek lektorok a varsói magyar tanszékre. A nyarat követően áttettem a székhelyemet Varsóba, ahol öt évig maradtam. Krakkóban Dósa Márta követett, az ő munkássága idején - hét évig dolgozott kint - alakult meg a magyar tanszék, amihez közvetve talán én is hozzájárultam. Varsóban a magyar tanszéken egy jól működő, hagyományos egyetemi struktúrába kellett beilleszkednem. Az itteni tanítványaimról is kellemes és szeretetteljes emlékeket őrzök. Tanítottam a későbbi magyarországi lengyel nagykövetet, Rafal Wiśniewskit, Wiesława Rusint, aki több útikönyvet is írt Magyarországról, valamint Maciej Szymanowskit, aki a közelmúltban a budapesti Lengyel Intézet igazgatója volt. Számos szép élménnyel gazdagodtam, de mivel azt szerettem volna, hogy a lányom, aki ott kezdte az iskolát, itthon folytassa a tanulást, így hazaköltöztünk.

T.T.: *Lengyelország iránt mikor kezdte el érdeklődni?*

K.J.: A Radnóti Gimnáziumba jártam, matematika-fizika tagozatra. A gimnáziumi



évek során azonban ért néhány olyan hatás, melynek köszönhetően otthagytam az imádott matematikát és fizikát (bár a matematika azóta is meghatározza az életemet és a gondolkodásomat), és a bölcsészeti karra magyar-orosz szakra jelentkeztem. A felvételit követő nyáron egy barát-nőmmel teljesen véletlenszerűen Lengyelországba utaztam. Eljutottunk Gdańskba, és megláttam a tengert, ami hihetetlen hatást gyakorolt rám. Ősszel elkezdtem az egyetemet. A népesnek tűnő magyar és orosz szak mellett szerettem

volna még valamit tanulni és, kicsit talán kizárásos alapon illetve a nyár pozitív hatása miatt, a lengyelt választottam. Harmad évtől már elsősorban a lengyelre összpontosítottam, lengyel irodalomból írtam a szakdolgozatomat is „Madách Az ember tragédiájának és Slowacki Kordianjának összehasonlítása a korabeli irodalomelméleti elképzelések tükrében” címmel.

T.T.: *Szinkron dramaturgként is dolgozol, és számtalan lengyel film szinkronizálásának megalkotása fűződik a nevedhez...*

K.J.: Igen, valóban sok lengyel filmet fordítottam. A filmfordítás meglehetősen furcsa dolog. Tulajdonképpen, amikor leadja az ember a munkát, az olyan, mintha beadná az édes gyermekét egy árvaházba. Soha nem lehet tudni, a film két hét múlva, vagy mondjuk másfél év múlva kerül adásba. A mozifilmek ez alól természetesen kivételek. Nem szoktam archiválni a munkáimat, de mindenképpen meghatározó élményem a „Przesłuchanie” („Kihallgatás”) című film Krystyna Janda fantasztikus alakításával, illetve Bársági Ildikó magyar hangjával. Én hívtam fel a tévés szerkesztő, Luluk Márta figyelmét a filmre, aki végül megvásárolta. A szinkronnál a legfontosabb a szájmozgás. Még arra is gondolni kell, hogy az első és utolsó hangzó vagy ugyanaz legyen, vagy maximum egy képzési elemben térjen el, mert különben „lemászik a hang a képernyőről”, és az nem szerencsés. A filmfordítás technikáját tanfolyami keretek közt a Hungarovoxx iskolájában tanítom is.

T.T.: *A filmek elhagyják az édesanyjukat. És a színdarabok?*

K.J.: Nem is olyan régen beszélgettem valakivel a sodródásról. Nem lehet azt mondani, hogy akár a filmekre, akár a drámára, prózára ráálltam volna. Próbáltam nyitott lenni, észrevenni a lehetőségeket, amik szembejönnek velem. Nagy élmény, ha az ember valamit felfedez, javasolja a kiadónak, és a kiadó megjelenteti a művet. Az jó érzés...

T.T.: *Ha színpadon látod, az még jobb érzés, nem?*

K.J.: Azt kell, hogy mondjam, hogy akár Mrozek, Szerlem a Krímben darabja, ami Töröcsik Mari illetve a Schwajda György által vezetett Művész Színháznak a felosztatása előtti utolsó bemutatója volt, akár a tatabányai színházban játszott Glowacki-darab, az Antigoné New Yorkban, jó emlékek. Bár a Szerlem a Krímben-t az én ízlésemhez képest sok - a magyar valóságra vonatkozó - politikai utalással tűzdelte meg az előadást a rendező, Taub János. De a társulat akkoriban annyira nehéz helyzetben volt, hogy végül ezt is megértő szemmel tudtam nézni.

T.T.: *Váltunk témát. Szoktál lengyel ételeket enni? És meg is tudod főzni azokat?*

K.J.: A barátaink mindig igyekszem lengyel ételeket főzni. Mivel nagyon szeretik és kifejezetten kéri is, a bigos mindig szerepel az „étlapon”. Dolgozom azon is, hogy a céklát, a céklalevest megszerettessem velük, de tudok - állítólag nem is rosszul - pierogot is csinálni.

T.T.: *Mikor szoktad azt érezni, hogy most már nem bírod, és muszáj elmened Lengyelországba? Van ilyen?*

K.J.: Abszolút van. Körülbelül félévente jön rám a „mehetnék”. Az úticél általában Krakkó, ritkábban Varsó. Most megint közeleg egy ilyen időpont... A Hungarovoxx, ahol tanítok, könyvkiadó is. Már három életemterjű-kötet jelent meg náluk, és szeretném, ha Kamocka Etelkáról szóló kötetem lenne a következő. Etelka nagyon sokat tett a lengyel-magyar kapcsolatokért, és a krakkói magyar tanszék megalakulásához is sokban hozzájárult. Örülök, hogy személyes jóbarátomnak mondhatom, és most hozzá készülök Krakkóba, hogy megmutassam neki az interjú már papírra vetett szövegét.



„LUDZIE SĄ DOBRZY”

– nostalgia, idea czy rzeczywistość? – z eseju Leszka Kołakowskiego*

Znów jestem po latach w Warszawie trochę na dłużej... Jeszcze nie odwiedzam starych znajomych, nie wydzwaniam po ludziach, nie czatuję na nikogo na portalu Nasza Klasa. Chcę poczuć najpierw z dystansu czym żyje, tętni to miasto, w jakie odziało się szaty w tak zwanych i rzekomych czasach postmodernizmu, podkręcanych świadomymi lub bardziej podświadomymi gestami aktualnych trendów i mód przywianych z „dalekiego świata”, czyli z zachodniej Europy i Wysp Brytyjskich. Nie, nie chcę być ani niesprawiedliwy, ani uszczypliwy, bo przecież to miasto – jak każde inne – ma swój specyficzny, niepowtarzalny charakter, koloryt, smak i rytm; zawsze coś się zmienia, ale i zawsze coś zostaje nienaruszone (wichry nowości nad drzewami tradycji). Z radością informuję, że park Łazienkowski jest na miejscu, lecz centrala rybna znikła z placu Trzech Krzyży... Ba, kto by dziś z mojego pokolenia pomyślał, że w Warszawie niegdyś jeździły trolejbusy... Choć bujające-kiwające się tramwaje nadal jeżdżą i można doświadczyć również szybkiej jazdy metrem, po mieście raczej chodzę na piechotę, duch miasta poczuć można tylko na pieszo, odwiedzając przeróżne sklepiki, księgarnie, knajpy, puby, kawiarnie, kina i teatry. W centrum w miarę jest czysto i kolorowo, i o dziwo pomimo dużego ruchu powietrze jest zadziwiająco czyste, przynajmniej w porównaniu z budapeszteńskim. Jestem spragniony polskich książek i płyt CD, więc już w pierwszym tygodniu pobytu urządzam przynajmniej półdniowe wyprawy do księgarń, EMPIKów. Przy ulicy Brackiej 25 – niedaleko ulicy Kruczej, na której jako parolatek mieszkałem – przyciąga mnie duży gmach Traffic Clubu, jak jakieś magiczne miejsce, tajemna zagadka z przeszłości, zabytkowy dom towarowy braci Jabłkowskich wybudowany między 1913-1914... Po spenetrowaniu płyt w podziemiu, udaję się na piętro 1 i 2 w poszukiwaniu lektur, czasu mam dużo, miejsca wolnego do czytania także. Zasiadam więc ze zbiorem esejów Leszka Kołakowskiego na jednym z wolnych krzeseł i wczytuję się:

„Oto jest jeden z najbardziej uderzających fragmentów Ewangelii. Gdy młody człowiek zwraca się do Jezusa słowami: „Nauczycielu dobry”, ten mu odpowiada: „czemu nazywasz mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg” (Mk 10, 18; Łk 18, 19). Jakże to? Najlepszy z ludzi, o którym mówi tenże Nowy Testament, iż był nam, ludzimi, we wszystkim podobnym oprócz grzechu, nie pozwala, by go nazywano dobrym? Cóż nam właściwie chciał w tej odpowiedzi przekazać? Chyba tyle, byśmy się sami dobrymi nie mianowali, bo grzesznikami jesteśmy w każdej chwili naszego życia. Czyżby nic w nas prócz grzechu nie pozostało? Jezus dał nam różne przykazania, o których z pewnością wiedział, że jest w naszej mocy je spełniać, że jesteśmy zdolni do dobrych uczynków. Jest w nas korzeń zła i nie mamy siły, by go z nasze-

go bytu do szczętu wyrwać, ale jest też nasienie dobra, które użyźnić możemy.

Jest to pewnie obraz świata zdroworoządkowy i banalny, któremu większość z nas przytaknie: jesteśmy źli czasem, a czasem dobrzy, nosimy w sobie obie jakości: dobro i zło, ale – i to jest trywialna prawda – w różnych proporcjach u różnych ludzi. Ile jednego i ile drugiego, tego wyliczyć niepodobna, ale

Znamy teorię, wedle której wszyscy ludzie, nieodmiennie, we wszystkim, co czynią, kierują się wyłącznie interesem własnym. (...) Teoria ta nie głosi, że ludzie są źli, lecz że mają na uwadze własny interes we wszystkim, co czynią. Łatwo zauważyć, że nie jest to doktryna moralna i moralnych orzeczników nie potrzebuje. Ma być po prostu opisem psychologicznym. (...) Gdy daję jałmużnę żebrakowi, to nie o żebraka ani o jego dobro mi chodzi, ale o moje

własne; (...) Skąd wiem, że gdy komuś pomagam, to jedynym moim motywem jest chęć pomagania samemu sobie? Wolno nam przecież twierdzić, że znamy z doświadczenia uczynki bezinteresowne. (...) Chrześcijańska tradycja powiada nam, że wszystko, co istnieje, skoro jest dziełem Boga, jest dobre. Nie jest to jednak moralna ocena, ale oczywistość metafizyczna, wsparta na definicji Boga jako stwórcy bytu doskonałego. Zło nie jest osobną formą bytu, ale czystą negacją, nieobecnością dobra. Zło ma za przyczynę wolną wolę – ludzką czy diabelską – a wolna wola musi mieć zdolność sprzeciwiania się woli Bożej i Bożym przykazaniom. Dopiero wtedy gdy chodzi o czyny dowolne, dobro i zło są orzecznikami moralnymi. Mogę czynić zło, ale jako byt po prostu, [jako] boskie stworzenie, nie przestaję przecież być czymś dobrym w metafizycznym znaczeniu. To mnie nie usprawiedliwia, nie zabezpiecza przed karą ani potępieniem. Sądymy zwykle, że ludzie mają w sobie zdolność do czynienia dobra i zła, czy wolno nam jednak twierdzić, że są ludzie źli bezwzględnie, bez reszty, albo niewzruszenie dobrzy, bez domieszki zła? Gdy powiemy „ludzie są źli”, spotkamy się na ogół ze sprzeciwem, inni będą nam pokazywać przykłady ludzi dobrych. Gdy jednak powiemy „ludzie są dobrzy”, odpowiedzą słuchających będzie gorzki śmiech. „Ludzie są dobrzy, powiadasz. A więc Hitler był dobry? Beria był dobry? I Mao Tse-tung, i Pol Pot? I wszyscy oprawcy w izbach tortur w despotycznych reżimach? Gwałciciele dzieci? Czy w ogólności istnieje taki sens, który dopuszcza, bez zniewagi dla zdrowego rozsądku, powiedzenie „ludzie są dobrzy”?

Każdy z nas zna z pewnością ludzi, którzy bez wachania jest gotów nazwać dobrymi, ludzi zawsze życzliwych i pomocnych dla bliźnich, wolnych od mściwości, zawiści i nienawiści, nigdy niemówiących i nieczyniących niczego, co by mogło innych upokorzyć; tacy ludzie, gdy są przez okoliczności zmuszeni do sprawiania innym przykrości – na przykład nauczyciel kiedy oblewa ucznia (...) – czynią to zawsze z poczuciem przykrości, nigdy triumfu lub przewagi. Każdy z nas zna też ludzi prawdziwie podłych, którzy znajdują przyjemność

* Leszek Kołakowski, Ludzie są dobrzy, in: Czy pan Bóg jest szczęśliwy i inne pytania, Wyd. Znak, Kraków 2009.

jesteś czarująca

powiedzą wszyscy, gdy zobaczą Panią w nowym stroju od Braci Jabłkowskich

PLASZCZE jesienne całe na podszewce modne od zł.	90
SUKNIE wizytowe, eleganckie i modne od zł.	38
WELNY na suknie modne mélangé w różnych odcieniach.	6 zł
SPÓDNICZKI wełniane w ciemnych kolorach od zł.	17
BLUZKI ciepłe w gust. damskich i kol. cena rekl. zł.	11

Katalogi wysyłamy na żądanie

Bracia JABŁKOWSCY
magazyn radiowolontaryj klientów

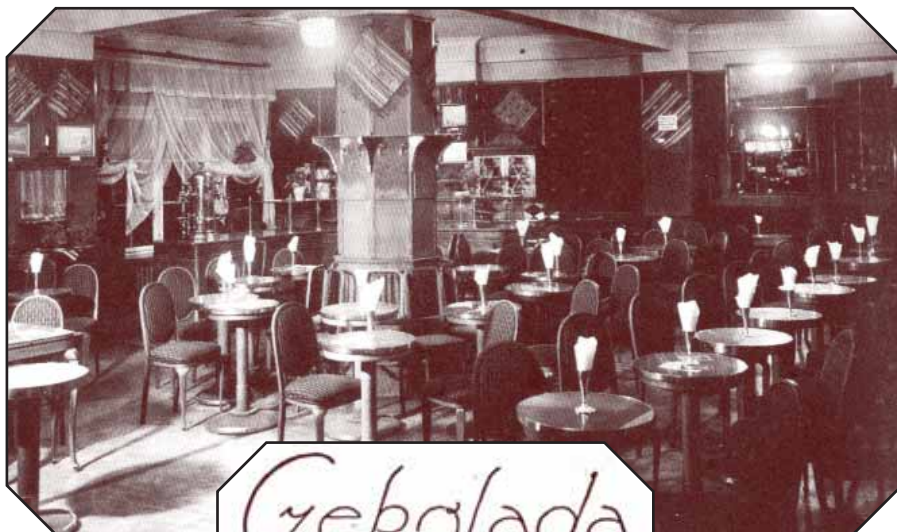
reagujemy żywiołowo na ludzkie uczynki i charaktery stosownie do naszych całkiem niematematycznych kalkulacji.

BAWMI SIĘ wesolo

wiedząc, że wyglądamy ładnie i elegancko

Suknie dancingowe, długie, jedwabne, ostatnie modele od zł.	55,00
Pantofelki z Crepe de Chine, czółenka, szurowe. Czarne zł 16, białe	15,00
Torebki czarne jedwabne	zł 4,75
Frak, długie modne poly	zł 215,—
Kamizelka frakowa, zamiast pleców — szelki, ostatnia nowość	zł 18,00
Smoking „dwa” lub „jedenrzed.”	zł 175,—
Melonki wełniane	zł 14,50, j 8,50
Skerpetki jedwabne ze strzałką	3,75

Bracia JABŁKOWSCY
magazyn radiowolontaryj klientów



w bólu i upokorzeniu innych, miotają oszczerstwa na bliźnich i szukają zajęć, które dają okazję do zadawania im cierpień i poniżenia. Czy więc zadowolimy się trywialnym spostrzeżeniem, że „są tacy i tacy”, czy jednak wolno nam w powiedzeniu „ludzie są dobrzy” poszukiwać sensu?

Pamiętam, że wiele lat temu jechałem długo pociągami w Niemczech i wdałem się w rozmowę z miłą, starszą

panią, która była kwakierką. Na pytanie, jak by mogła streścić myśl religijną kwaków, powiedziała mi, że są dwie zasady, które kwakrzy uznają: że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Ojca i że w każdym człowieku jest coś dobrego. (...) Nie wynika stąd, oczywiście, że wszystko, cokolwiek czynimy jest dobre, lecz tylko, że każdy z nas nosi w sobie zdolność do dobra, do bezinteresownego umiłowania bliźniego i Boga. Czy i jak zdolność ta w czyn się przejawia, tego z tej wiary nie wiemy.

Łatwo zauważyć, iż przypuszczenie, że jest coś dobrego w każdym człowieku, jest równie niemożliwe do sprawdzenia jak wspomniana teoria Hobbesa, która uczy nas, że wszystkie nasze motywy są samolubne. Nawet gdybyśmy wiedzieli, jak określić dobro i zło w ludzkich uczynkach i motywach, nie moglibyśmy kryteriów naszych użyć do zbadania wszystkich ludzkich istot i zresztą nie mielibyśmy sposobu, by ustalić ich motywację (...)

[Ale] czy wolno nam w to wierzyć? Tak, podobnie jak wyznajemy różne metafizyczne i religijne wierzenia, które nie mają uwiarygodnienia takiego jak teorie naukowe, ale odpowiadają na pytania ważne dla ludzi, niezbędne, zakorzenione w samej budowie naszego umysłu. (...)

Jeśli jednak wierzymy prawdziwie, że każdy człowiek nosi w sobie coś dobrego, czy wynika stąd coś, co ma praktyczne skutki i może odmienić nasze odnośnienie się do ludzi?

Chyba tak. Z wiary wspomnianej nie wynika wprawdzie, że wszystkie motywacje ludzi albo ich większość są dobre lub dają się do dobrych korzeni sprowadzić. Nie wynika też, że mamy się odnosić

pobłażliwie do wszystkich ludzkich poczynań, choćby najpodlejszych wedle zwyczajnych naszych miar, ani że ludzie nie mają być karani za swoje zbrodnie. (...)

Po coś więc nam ta prawda [kwakerska]? Chociaż, powtarzam, nie można jej udowodnić w sensie takim, jak można udowodnić, jakie są rozmiary planety Jowisz, jest ona ogromnie ważna w naszym obchodzeniu się z ludźmi. Jeśli wierzymy w tę prawdę, wierzymy zarazem, że nikt nie jest absolutnie i bezwzględnie skorumpowany i do

niczego prócz zła niezdolny, również gdy mamy dobre powody, by go powiesić. Tym samym trzeba nam zakładać, że środki wychowawcze stosowane, by ludzi uczynić lepszymi, mają zawsze szansę powodzenia. Gdybyśmy uznali, przeciwnie, że ludzie, o których mamy prawo sądzić, iż są podli i zdolni do uczynków najgorszych, są, jacy są, nieuleczalnie i nieodwołalnie, że więc najstosowniej byłoby ich uśmiercić, to – jak należy przypuszczać – wcale nie zmniejszyłyby rozmiarów podłości w naszym świecie, najwyżej zmieniłyby jej środki wyrazu.

Zło na świecie być musi, ale biada temu, przez którego na świat przychodzi, jak uczy apostoł Paweł. Nie powiada on jednak, że z tej racji nie możemy rozmiarów zła zmniejszać ani ograniczać; byłoby to zresztą przeciwne misji, jaką apostoł Paweł wziął na siebie. Każdy z nas doznał jakiegoś dobra od innych ludzi, oprócz może tych okropnych przypadków, o których się nawet myśleć nie chce. (...) Każdy też doświadczał zła i nienawiści od innych. Przykazanie tegoż świętego Pawła „złem dobrem zwyciężaj” nie jest zapewne łatwe w zastosowaniu i mało kto może się chlępić, iż był mu zawsze posłuszny. Ale to przykazanie jest chyba wsparte na przytoczonej kwakerskiej i mistycznej prawdzie.

Nie wiemy i nie możemy wiedzieć, kiedy w naszym życiu owa iskra Boża zaczyna działać, bo przecież nie od urodzenia. Wolno nam przypuszczać, że w szczególnych okolicznościach wychowanie i warunki środowiskowe mogą ją tak stłumić, że chociaż nie jest martwa, jest nieczynna. Wolno nam tak przypuszczać, ale i tego udowodnić bezpośrednio nie potrafimy.

Zastrzec się wypada, że w tym próbnym wywodzie nie ma żadnej teorii „natury ludzkiej” w rodzaju tej, którą opisywali na przykład Jean Jacques Rousseau czy Johann Gottlieb Fichte. Obaj ci pisarze byli nieraz obwiniani, nie bez racji, o torowanie drogi dla nowoczesnych doktryn totalitarnych. W rzeczy samej, oznajmić, że wiemy, jaka jest autentyczna natura ludzka, czyli co to znaczy być prawdziwie człowiekiem, jest to roszczenie niebezpieczne. (...) Teorie natury ludzkiej, a zwłaszcza dobrej, szlachetnej natury ludzkiej, znieprawionej przez warunki społeczne, łatwo nadają się do tego, by usprawiedliwiać ucisk i przemoc. (...) Jest przeto ważne, byśmy wiedzieli, kiedy zło czynimy. Ma temu służyć instytucja spowiedzi indywidualnej. Kiedyś, gdy świat był prosty, a ja młodszy (a może odwrotnie), sądziłem, że jest to instytucja służąca tylko utrwaleniu władzy Kościoła nad duszami za pomocą wizji ognia piekielnego. Nauczysz się więcej, zmienię zdanie. Jest to oczywiście narzędzie władzy nad duszami, ale jest także urządzeniem, dzięki któremu jednostka uświadamia sobie zło, które czyni. Również z poczucia własnej grzeszności można, jak z wszystkiego, uczynić instrument obsesji i ucisku duchowego, ale tak być nie musi. Jest to urządzenie stosowne dla ludzi dojrzałych, nie dla dzieci. Jak ono dzisiaj funkcjonuje faktycznie, na jakich grzechach się skupia, nie mogę sądzić. (...) Czy grzechy szczególnie w naszym świecie trujące – nienawiść, oszczerstwa, kłamstwa, zawzięć, zazdrość – są w ośrodku tych dociekań, tego nie wiem. Gotów jestem głosić umiarkowane uznanie dla spowiedzi.

Rzecz jest ważna, bo nasza cywilizacja odznacza się zanikiem i celowo sprawionym rozkładem zarówno samej idei winy, jak i winy jako poczucia czegoś, co w ludzkiej duszy się zdarza, a przynajmniej zdarzać się powinno. Zastępujemy ów zanikający twór ideologicznymi konstrukcjami, jak powtarzamy, w różnych wersjach, przy różnych okazjach, frazes „wszyscy jesteśmy winni”. Jest jasne, że powiedzieć „wszyscy jesteśmy winni” to tyle, co powiedzieć, że nikt nie jest winny. Innym ideologicznym konstruktorem na tym obszarze jest doktryna Sartre'a, iż każdy z nas jest odpowiedzialny za cały świat. Ale i w tej sprawie jasne jest, że skoro jestem odpowiedzialny za cały świat, to za nic nie jestem odpowiedzialny. Jeśli mniemamy, że nie ma realnie czegoś takiego jak dobro i zło, że są to zabobony religijne (a takie jest mniemanie zarówno egzystencjalistów, jak i empirystów logicznych), to odpowiedzialność wszelka jest próżna albo jest najwyżej moim kaprysem.

We wszystkich chyba archaicznych kulturach istniały tabu, a więc coś, czego naruszenie miało powodować poczucie winy. Nasza cywilizacja pozbyła się tabu i pozbyła się potrzeby winy. Czy może mimo to przetrwać, tego jeszcze nie wiemy. (...)

Słońce zaniża swój bieg. W dużej przestrzeni domu towarowego widać ganiające się pyłki kurzu oświetlone złotym światłem, wpadającym przez ogromne kolorowe witraże... Gmach ten ocalał w czasie wojny. Stoi do dziś. Może dlatego czuć w nim pozytywną energię, pozwalającą się wyciszyć i nabrać sił, aby pamiętając o bliskich nam osobach rzeczywiście móc sobie powiedzieć: mimo wszystko znam paru dobrych ludzi...

Wychodzę na ulicę Bracką oświetloną złotym, ciepłym światłem i spokojnym krokiem podążam do Wedla na gorącą czekoladę z imbirami z niejaką panią B.

Oprac. ABRA

Idąc dziś rano do pociągu, rozmyślałam o tym, że życie składa się z drobnych chwil, które powinny być jak najprzyjemniejsze. Patrzyłam na otaczającą przyrodę, na niebo (oczywiście, pod nogi też) i cieszyłam się, że jestem sprawna, zdrowa i zdolna zarabiać na życie. A mogłam przecież myśleć zupełnie inaczej: że jest dopiero poniedziałek i że znów zaczyna się długi tydzień pracy... Podążając torami pozytywnego myślenia, zaczęłam analizować rozmowę telefoniczną z poprzedniego dnia z moją przyjaciółką Ireną, która w jesieni swojego życia jest wciąż pogodna i uśmiechnięta.

– Jak się cieszę, że dzwoniisz, Mario – powiedziała na wstępie naszej rozmowy. – Właściwie to jest mi smutno, bo odszedł mój drogi przyjaciel... Nie chce mi się wierzyć, że Zbyszek już nie ma. Tyle lat pracowaliśmy razem w etnicznym radiu... Ale wiesz, nie będę płakać na jego pogrzebie. Dla mnie on żyje, tylko nie ma czasu.

Kiedy w ubiegłym roku razem z naszym wspólnym przyjacielem Andrzejem zaprosiliśmy Irenę na obiad z okazji jej 88 urodzin, powiedziała z uśmiechem, zapalając kolejnego papierosa:

– **Młodo już nie umrę! – po czym dodała – Wiecie co, kupiłam sobie nową, różową sukienkę. Przyda mi się na różne okazje, prawda?**

– Czy zawsze byłaś taka pogodna z natury? – zapytałam.

– Tak. – odparła – Mówili mi: „Ty się nigdy niczym nie przejmiesz”, a moja siostra często powtarzała: „Irka nie żyje, tylko marzy o marcepanie i ananaszach.” – Wiesz Mario, kocham słodczyce, kocham chałwę. – zwróciła mi się – Córka mi ją przynosi pokrojoną w kostkę, więc jem, kiedy tylko mam ochotę. Moja córka Basia to moja najlepsza przyjaciółka. Kiedy jedziemy samochodem, to sobie razem śpiewamy. Lubię muzykę, lubię śpiew. Kocham Fogga i jego piosenki. Znałam go zresztą osobiście – chodziłam podczas wojny do kawiarni, w której śpiewał. Wyobraź sobie – tu przeskakuje do teraźniejszości – kiedyś sąsiedzi przyszli i uprzedzili mnie, że urządzają party, w związku z czym będzie głośno. „A ja lubię muzykę”, powiedziałam im, więc może być głośno. I było, do rana, i wcale mi nie przeszkadzało! Nawet mnie zaprosili na kieliszek!

– **Co byś zmieniła w swoim życiu, gdyby to było możliwe?**

– Nie chciałabym więcej zobaczyć Oświęcimia...

– **A jaka jest twoja recepta na długie życie?**

– Brać życie takim, jakie jest, być zadowolonym z tego, co los nam daje. Być sobą, mówić prawdę i dawać więcej, niż brać. Zawsze mnie cieszyło, kiedy mogłam pomóc ludziom, udzielić informacji, służyć radą, lub chociaż powiedzieć dobre słowo, dodać otuchy. Zbyszek często o mnie mówił: „Irena była zawsze tam, gdzie była potrzebna.” Teraz ja to mogę powiedzieć o nim... Kiedy mnie odwiedził po raz ostatni, powiedział: „Chcę u ciebie posiedzieć. Ja się tu dobrze czuję.”

W tym miejscu wybuchnęła serdecznym śmiechem: – On się tu u mnie dobrze czuł, wyobraź sobie! Tu, w tym bałaganie!

Rzeczywiście, dom Ireny wygląda jak nieuporządkowane muzeum, pełne cennych pamiątek, listów, zdjęć, książek, albumów, płyt, kaset, dysków, maskotek i innych „przydasiów”, które można brać do ręki i oglądać, ale broń Boże próbować przestawiać lub uporządkować cokolwiek.

– Wiesz, dostałam niedawno kartkę od Jonasza z widokiem Placu Zamkowego, który tak dobrze znam... Jak on pięknie do mnie napisał, posłuchaj!

I zaczęła czytać treść kartki od mojego bratanka,



Jesień życia

którego poznała w czasie jego wizyty w Brisbane w ubiegłym roku.

– Jak to miło mieć takiego młodego przyjaciela! Wiesz, a Andrzej to mnie też chyba lubi...

– Nie chyba, tylko na pewno.

– Taaaak... Znamy się już prawie trzydzieści lat... To dobry przyjaciel, zawsze o mnie pamięta.

Tu nastąpiły dalsze wspomnienia dotyczące Andrzeja oraz innych przyjaciół.

– Wiesz, a mój mąż czeka na mnie w sypialni! – powiedziała nagle.

– **Jak to „czeka”? – zapytałam zaskoczona. – Myślałam, że Twój mąż nie żyje?**

– Tak, ale on czeka na mnie w urnie... – powiedziała cicho i uśmiechnęła się...

– **Czy jest coś, czego żałujesz?**

– Tak, żałuję, że nie znam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać po francusku. Ja zawsze kochałam języki... Włoskiego uczyłam się, kiedy kręcił się koło mnie pewien młody Włoch, a po rusku *toże niemnożko panimaju*... No i zawsze chciałam nauczyć się Esperanto... Mam podręczniki od ciebie, Mario, ale chyba już nie zabiorę się do nauki... A szkoda, bo to taki piękny język i cała idea z nim związana...

– **A czy nie żałujesz, że wyjechałaś z Polski?**

– Ja NIGDY z Polski nie wyjechałam, mnie WY-WIE-ŻLI!! – zaprotestowała i sprostowała.

– Może, gdybym była w Polsce, zasłabym wyżej... ale tu przynajmniej wychowałam czwórkę dzieci na dobrych ludzi!

W tym miejscu przerwała rozmowę i zaczęła śpiewać „La Vie En Rose”, jedną z popularnych piosenek Edith Piaf, oczywiście po francusku, bez zająknięcia i z dobrym akcentem, a potem kontynuowała:

– W czasie wojny, to było chyba w 1942, stałam na przystanku tramwajowym w Warszawie i marziałam. I wtedy sobie myślałam, że chciałabym znaleźć się gdzieś, gdzie nigdy nie jest zimno... Oczywiście, nie miałam na myśli Australii, tylko Włochy, gdzie mieszkał mój ukochany...

I nagle zmieniła temat: – Wiesz, tak mi się miło rozmawia z tobą, że sobie zaraz wypiję kieliszek cherry brandy!

– To ja też zrobię to samo i na odległość stukniemy się kieliszkami! – odparłam.

– Ależ to świetny pomysł! – roześmiała się beztrudno jak dziecko.

– **Czego byś sobie jeszcze życzyła? – zapytałam na koniec.**

– Żeby dostawać jak najwięcej takich miłych telefonów, jak twój i żeby nie było wiadomości, że ktoś

umarł... Wiesz, Mario, zawsze sobie powtarzam: „Nie narzekaj, nie jest tak źle, pamiętaj, że zawsze może być gorzej.”

Tu znowu wybuchnęła śmiechem i zaraz potem zaintonowała ni z gruszki, ni z pietruszki „Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec...” Zawtórowałam jej, po czym rozłączyłyśmy się.

„Oby takich pogodnych ludzi było wokół nas jak najwięcej” – pomyślałam, wychylając kieliszek likieru za zdrowie kochanej Ireny. I zaraz zrobiło mi się ciepło na ciele i duszy. A potem, w błogim nastroju, rozmyślałam sobie, w kontekście tegorocznych wyborów (samorządowych na Węgrzech oraz federalnych w Australii), że dobrze by było, gdyby nasi politycy, tak jak moja przyjaciółka Irena, potrafili być sobą, mówić prawdę, z pasją bronić swoich racji, mieć respekt dla wyborców, dawać więcej niż brać i być zawsze tam, gdzie byłiby potrzebni... I w kontekście jesiennej wiersza Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej „Liście”, który brzmi następująco: „Rumieńce lata pobladły./ Liść złoty z wiatrem mknie./ I kłonom ręce opadły./ i mnie.” Zamarzyło mi się, żeby nam jednak ręce nie opadły po wyborach i żebyśmy nie dali się ogłupić pustymi frazesami oraz obietnicami bez pokrycia.

Z tych politycznych rozmyślań wyrwał mnie telefon.

– To znowu ja – usłyszałam głos przyjaciółki. – Wyobraź sobie Mario, że zaraz po rozmowie z tobą poszłam do skrzynki pocztowej i zgadnij, co z niej wyjęłam: zaproszenie od prezydenta Warszawy na spotkanie z okazji 66 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego! Pomyślałam sobie, że z tobą pierwszą podzielę się tą wiadomością.

No i zaraz odczytała mi cytat z tego zaproszenia, który skrzętnie zapisałam: „Nie po to się żyje, by walczyć,/ lecz walczy się po to, by żyć,/ a jeśli ci życia nie starczy,/ to śmierci spojrz w oczy i idź.”

– Jakie to mądre – powiedziała i od razu dodała: – Muszę im odpisać, że duszą będę w Warszawie na tych obchodach, ale ciało nie doleci...

Pogratulowałam jej serdecznie otrzymanego zaproszenia, bo wiedziałam, jak bardzo ją ucieszyło i jak boleśnie przeżywa każdą z tych rocznic. Znam wstrząsającą historię jej ojca i brata, rozstrzelanych w Powstaniu na oczach jej, jej matki oraz siostry... W czasie tej masowej egzekucji zabrakło podobno kul dla kobiet, dlatego wysłano je do Oświęcimia, w którym z kolei nie było wolnych miejsc... Widać, inny los był tym kobietom pisany. Wywieziono je do Niemiec, skąd następnie trafiły do Belgii. Australia była ostatnim etapem powojennej tułaczki Ireny, jej męża Ryszarda oraz dwóch córek, które urodziły się w Belgii. W Australii przyszedł na świat ich jedyny syn oraz jeszcze jedna córka.

Zanim osobiście poznałam Irenę, usłyszałam ją przed laty w audycji radiowej na temat Powstania Warszawskiego. Byłam pod wielkim wrażeniem jej relacji. Jak się później dowiedziałam, za ten program została wyróżniona wraz z radiowym kolegą Zbyszkiem w 1993 roku. Z tym samym Zbyszkiem, którego teraz pożegnała. W ubiegłym roku Irena otrzymała medal przyznany przez Radę Naczelną Polonii Australijskiej za wieloletnią pracę społeczną. Obserwowałam ją któregoś dnia, jak patrzyła na ten medal i mówiła do niego żartobliwie: „Dlaczego nie masz żadnej wstążeczki, żebym cię sobie przyczepiła i nosiła z dumą? Co ja mam z tobą zrobić, tylko trzymać w pudełku?”

Życzyłabym sobie i innym starzeć się w stylu mojej „przyjaciółki do grobowej deski”, jak sama siebie nazywa: w pogodnym nastroju, akceptując to, co nam los zysła.

Maria Agoston

Moja znajomość z panią Adą z domu Martynowicz, a po mężu dr Zádor Tiborné, rozpoczęła się 10 lat temu. W naszej Ambasadzie w 2000 roku odbywało się spotkanie kombatantów wojskowych i uchodźców, którzy pozostali na Węgrzech po II wojnie światowej. Wśród będących jeszcze w całkiem niezłej formie wiarusów, uwagę moją zwróciła odbierająca nominację na stopień podporucznika WP przystojna, elegancka kobieta, o manierach przedwojennej damy polskiej. Wymieniłyśmy się wizytówkami i powiedziałam sobie, że muszę z nią zrobić nagranie radiowe. Czas szybko płynął, a ja jakoś do Miskolca – gdzie mieszka pani Ada – dojechać nie mogłam. Wreszcie wczesną wiosną tego roku, zupełnie niespodziewanie zatelefonowała do mnie pani Ada. W ręce wpadła jej moja wizytówka, a ona była w potrzebie.... Piękną polszczyzną opowiedziała mi o sobie, o swoich 92 latach życia (w tym blisko 71 spędzonych na Węgrzech), o tym, jak bardzo ceni sobie tę starą prawdziwą przyjaźń Polaków i Węgrów, czym dla niej była i jest Polska, a także, że kiedyś licznie i często odwiedzali ją nasi rodacy... no i teraz, kiedy ona nieco się postarzała,



nikt do niej nie zagląda, a co tu dużo mówić – życie doskwiera.

Czułam, że bardzo potrzebuje pomocy. Mimo, że sprawa była bardzo delikatna poinformowałam o niej ówczesnego konsula, który w miarę swoich możliwości pospieszył z pomocą, podobnie jak OSMP i Stowarzyszenie Bema (czego niestety nie można powiedzieć o miejscowym SMP).

Początkiem lipca z moją radiową koleżanką wybrałyśmy się do Miskolca. Niewielki, zatopiony w zieleni i kwiatach, pełen polskich pamiątek domek na obrzeżach miasta, a w nim pani Ada z synem – 92-letnia kobieta mająca bardzo poważne kłopoty w poruszaniu się i jej 66-letni syn – obydwoje cierpiący na różne choroby i z tym wszyst-



kim zdani prawie wyłącznie na siebie. I wszędzie uderzający zapach, smak, koloryt Polski, a serce pani Ada ma wyjątkowe, bo kresowe. Urodziła się w 1918 roku w Stanisławowie, jej matka pochodziła z Czerniowic. Przyszła na świat w rodzinie wysokich rangą oficerów wojskowych, jej dziadek – generał był lekarzem, ojciec niegdyś oficerem austriackiej armii, z mlekiem matki wysłała służbę ojczyźnie. W 1939 roku, jako młoda dziewczyna po maturze i z nadzieją na rozpoczęcie studiów, jako ochotniczka–telegrafistka przyjechała na miesiąc na Węgry. Ten miesiąc trwa do dziś...

– Proszę sobie wyobrazić – opowiada pani Ada – że w 1939 zupełnie przypadkiem zobaczyłam mojego ojca na granicy sowieckiej, który również jako ochotnik wyruszył na Węgry jakiś czas przede mną. Ojciec gdy się dowiedział, że tu jestem, czynił starania, byśmy obydwoje trafili do obozu dla uchodźców wojskowych, ale los chciał inaczej... mnie pokierował do rodziny oficerskiej. Byli to wprawdzie spisy Sasi zwani Zipserami (węg. Cipszerek), ale zaopiekowali się mną jak własnym dzieckiem, nazywając mnie swoją „polską córką”. Wujek Eugeniusz był dyrektorem szkoły pedagogicznej, jego żona – ciocia Irena kierownikiem internatu. Ubrali mnie, wprowadzili w towarzystwo – czułam się jak wśród bliskich. Na imieninach mojego węgierskiego „ojca” poznałam kandydata na męża. Pobraliśmy się szybko, bo mój przyszły małżonek Tibor – tu uśmiecha się lekko – rzekomo natychmiast się zakochał. Moi węgierscy „rodzice” mieli swego rodzzonego syna, który jako żołnierz przebywał na froncie i uznali, że jak będą dobrze uważać na mnie, to w zamian sam Pan Bóg szczególnie będzie strzegł ich syna. Tak też się stało. Syn z wojny powrócił.

Wracając do mojego małżeństwa to proszę sobie wyobrazić, że już w styczniu moi węgierscy opiekunowie wyprawili mi najwspanialsze wesele. Było na nim 30 osób, a potem pomogli w znalezieniu własnego lokum. W taki oto sposób – po mężu – stałam się oby-

watelką węgierską. Wówczas to dla mnie było bardzo ważne, bo przecież pochodziłam ze Stanisławowa – miasta, które już nie było polskie i groziło mi obywatelstwo rosyjskie, a ja bardzo chciałam tego uniknąć.

Z mężem mieszkaliśmy w Miskolcu. W 1944 roku urodził się nam syn. 9 lat czekałam na wydanie paszportu. To było straszne – nie mogłam zobaczyć moich rodziców, którzy mieszkali w Bielsku Białej. Za komunizmu męża aresztowano. Pyta pani za co – nie wiem – chyba nikt nie wiedział... Nosila mu obiady i czekałam... Po dwóch tygodniach wyszedł na wolność – tak bez słowa... Muszę powiedzieć, że do samej śmierci męża, a zmarł w 1988 roku, żyło się nam dobrze. Mąż był zaradnym człowiekiem, doktorem praw, nauczycielem, ja oprowadzałam po Węgrzech polskie wycieczki. Mieliśmy ładną willę, ale los tak sprawił, że musieliśmy się jej pozbyć.

Odwiedzało nas wtedy bardzo wielu Polaków, urzędałam polskie wieczory, miałam „polski pokój”. A dzisiaj – mój Boże – pozostał może jeden procent tego wszystkiego i coraz bardziej zacierające się wspomnienia. Już nie jestem nikomu potrzebna, a ci, którzy kiedyś tu przychodzili – nie wiem – porozspypywali się po świecie, sami się postarzel, zapomnieli... a mnie tak bardzo brakuje kogoś, z kim mogłabym szczerze porozmawiać po polsku...

Zrobiło się popołudnie. Pani Ada przyjmuje nas wszystkim co ma najlepsze. Siedzimy na tarasie, opowiadamy, oglądamy stare fotografie, pijemy wino i dobrze nam ze sobą.

W drodze do Budapesztu nie daje mi spokoju myśl, dlaczego ten rozpędzony świat zapomina o najbardziej ludzkich potrzebach? Dlaczego jest tak okrutnie samotny?

I czy naprawdę nie potrafimy temu chociaż odrobinę zaradzić?

Bożena Bogdańska-Szadai



Pani Ada w latach młodości



Gawęda o winie

Napój Bogów. Tak o nim powiadają od paru tysięcy lat. Musi w tym coś być, przecież każdy, kto uprawia winorośl doskonale wie, że bez współpracy Boga z człowiekiem nici mogą wyjść z całego wysiłku. Już nie mówiąc o tym, że wino symbolizuje ponowne narodzenie w innej jakości, czyli zmartwychwstanie w innym kształcie lub postaci. Popatrzmy tylko: wpierv odbywa się zasadzanie, potem wychowanie i dojrzewanie. Dalej zaś symboliczne torturowanie, unicestwienie w kształcie owocu, wyciskania krwi, wreszcie pochowanie, czyli złożenie do trumny (beczki). I faza najważniejsza: misterium przemienienia – w ciemnościach krew męczennika przemienia się w inną jakość, zmartwychwstaje jako jeszcze bardziej szlachetna istota. Zupełnie jak człowiek w legendach, bajkach, gdy po śmierci za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powstaje do nowego życia.

„Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza I poprawiwszy nieco wylotów kontusza Nalaf węgryzna...” (A. Mickiewicz: Pan Tadeusz, księga I)

A gdzie rosną najlepsze wina? Oczywiście na stokach gór, w nasłonecznionych odpowiednio miejscach. Najbardziej do tego nadają się góry wulkaniczne z cienką warstwą urodzajnej gleby, pod którą kryje się kruchy materiał przepuszczający wodę, bogaty w minerały. Góry uznane za święte prawie zawsze były górami wulkanicznymi, z których buchał święty ogień. (Takimi są na Węgrzech między innymi Badacsony, Csobánc, Somló czy Tokaj). A gdzie ogień, tam i światło – ex oriente lux: światło(ść) pochodzi ze wschodu. Nie przez przypadek przecież praojczyzną obecnych gatunków win jest Azja Środkowa. W Anatolii w Czatal Hüyük odkryto miejsce, gdzie już 10 tysięcy lat temu magazynowano wino. Nasi azjatyccy przodkowie sok z winogron zakopywali w amforach, zaklejonych deskami i gliną. Wiosną odkopywali, do innych naczyń odciągali czyste wino i znów zakopali, a po paru latach spożywali je uroczystie. Podobnie w okolicach Kaukazu, obecnego Turkmenistanu, Kazakistanu, Uzbekistanu, Kirgizystanu oraz w dalekiej Ujgurii, w Tuwie, kolebce Hunów, Awarów i Węgrów. Do dziś istnieje tam miejscowość słynna z produkcji wina, która nazywa się Borluk – Borlyuk, czyli Wąwóz Win. W Siedmiogrodzie kłania się coś podobnego: Borszék. Zresztą jedno z najlepszych gatunków wina rodziły się właśnie w Siedmiogrodzie, a rzecz się miała aż do wielkiego ataku filoksery w drugiej połowie XIX wieku, kiedy to wszystkie stare gatunki winogron wyginęły na Węgrzech. (Nota bene: chorobę „importowano” z Zachodniej Europy!). niewiele się uratowało: jednym z nich jest „juh fark”, który dziś przeżywa swój renesans. Według niektórych ekspertów należałoby zaszczepić ponownie stare gatunki z Tuwy, aby stworzyć szansę do odtworzenia wyginiętych rodzajów. Według najstarszych podań perskich i greckich kultura uprawiania winorośli pochodzi także z tamtych terenów w Azji Środkowej. Co więcej, zapisane pismem klinowym gliniane tabliczki Sumerów też podają pochodzenie uprawiania winorośli z Turfanu, czyli właśnie z Tuwy. W pierwszym znanym nam dziele literackim, powstałym 5 tysięcy lat temu – eposie o Gilgamesie, bohater poszukuje owocu życia, z którego przygotowuje się napój nieśmiertelności dla Bogów – i znów jest to wino. A gdy Ur, król bogów szykuje

na grzesznych ludzi potop, każe najpobożniejszemu człowiekowi, który nazywał się Ut-Nap-Istin uratować pędy winorośli. (Ten sam bohater w Biblii nazywa się Noe). Pozwólmymy sobie tu na małą dygresję i zabawmy się z językiem węgierskim. Ut = droga, Nap = Słońce, Istin = (Isten) = Bóg – „Utnapisten”, czyli „Podążający do Boga-Słońca = Napistenút. I niech ktoś jeszcze powie, że Węgrzy nie mają nic wspólnego z Sumerami! Podążajmy dalej ścieżką dziejów. Scyci w ok. 650 roku przed Chrystusem zajęli Niekę Karpat. Potwierdzeniem, że dobrze znali oni kulturę uprawiania winorośli świadczy podanie starogreckie z X wieku przed Chrystusem, według którego bóg win Dionysos odwiedził Scytów i nauczył ich tej sztuki. Tak więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że właśnie Scyci zasadzali pierwsze winorośle w Dolinie Karpackiej 600 lat przed Chrystusem. W IV wieku przed Chrystusem pojawili się tu Celtowie i kontynuowali uprawy na Nizinie Węgierskiej, w Siedmiogrodzie, w okolicach Egeru i Tokaju. Tak samo postępowali Illirowie, czyli Biali Chorwaci, Sarmaci i Rzymianie. Większość języków przejęła nazwę tego szlachetnego napoju z łaciny (vinum): Wein, wine, vin, vino, wino, winos. Widać rzadko który naród ma własne słowo na wino. Węgrzy mają: bor. I znów musimy sięgnąć do Azji, skąd to słowo pochodzi. Dwa tysiące lat temu kronika chińska pisze: Hunowie utrzymywali w wielkiej czci górę Bor-Tengri, gdzie uroczyste ofiary składali bogowi zmartwychwstania i bogowi wina o tej samej nazwie. Kronikarz podaje, iż Hunowie mają dużo dobrego wina, nieraz bardzo starego, ponad 30-letniego. Ponownie mała dygresja językowa: Ten = Bóg. Ös-Ten



= Is-ten = Stary Bóg, jedyny, który ma trzy wcielenia. A więc: w ciągu dnia Kök Tengri (kök = kék = niebieskie), w ciągu nocy Kara Tengri (kara = fekete = czarne), a o świcie i o zmierzchu (czyli w momentach wygasania i zmartwychwstania dnia) Bor Tengri (bor = vöröseskék = buroniebieskie). Bor więc to kolor najlepszych gatunków czerwonego wina... To, że spożywanie wina wymagało zawsze pewnych ceremonii, potwierdza nam poseł grecki retor Priscos opisując ceremonię podawania wina na dworze wodza Hunów Attili. Mamy tu do czynienia z zawziętością zwyczajów, rytuałów, tego co i w jakiej kolejności podawali, dlaczego właśnie tak, a nie inaczej. Podczas biesiady serwowano przeróżne gatunki win – zależnie od potrawy i stanu ducha jej uczestników. Białe wino na przykład zaliczano tam do najważniejszych, gdyż nosi kolor złota, Słońca, władcy. Niektóre białe gatunki z Pannonii Rzymianie nazywali „vinum hunnicum”. To były raczej gatunki wytrawne, oni tego specjalnie nie lubili, woleli słodkie, więc były to wina wrogów, kwaśne, złe, huńskie... Ale te „złe” wina pasowały najbardziej do ciężkich, treściwych potraw spożywanych przez Hunów – do gulaszu na przykład. Gulasz – mięso wołowe z cebulą, jarzynami – było jedzeniem ofiarnym, które przygotowano w podłużnych wysokich kotłach. (Te specjalnego kształtu kotły też były bardzo praktycznym wynalazkiem na

pustyniach, gdzie nie było łatwo o paliwo – a naczynia te pozwalały na skuteczne gotowanie na małym ogniu). Po Hunach przywędrowali do Doliny Karpackiej Awarowie. Władca Franków Karol Wielki toczył z nimi krwawe boje, mimo że matka jego była w połowie Awarą. Nawet jego imię jest z awarskiego: Karol = Kar-Vol = Karvaly, czyli Czarny Sokół. W końcu przez zdradę awarskich wielmożnych Karolowi udało się pobić ostatecznie Awarów, zabrał im bajeczną ilość bogactwa i – jak kroniki podają – paręset beczek wśmienitego wina oraz awarskie pędy winorośli! I wreszcie Węgrzy. Kronikarz króla Béli IV Anonim pisząc o czasach zajmowania Ojczyzny wspomina, że przy spotkaniu dwóch rzek, mianowicie Bodrogu i Cisy, wodzowie Árpáda urządzali wyścigi konne, a wygrał ten, który pierwszy dojechał na górę Tokaju. Po wyścigach zaś pili oni „najprzedniejsze wina”. Zwycięzcami byli wodzowie Ketel i Tarcal – po nich mamy tam nazwy miejscowości. Pierwsze wspomnienia o przywilejach regionów dotyczących produkcji win pochodzą z lat 1038 i 1067 oraz właśnie z Tarcal w 1110 roku. W 1252 roku Béla IV nadaje włości z uprawą winorośli tokajskich przeoratowi w Olaszliszka. Stefan V zaś ustanawia, że jedna dziesiąta produkcji Tokaju powinna iść dla biskupstwa w Egerze.

„Niestety! Już i do nas włazi moda nowa, Niejeden panicz krzyczy, że nie cierpi zbyt, Je jak Żyd, skąpi gościom potraw i napitków, Węgryzna pożałuje, a pije szatańskie Falszwe wina modne, moskiewskie, szampańskie.” (A. Mickiewicz: Pan Tadeusz, księga XII)



Do końca XV wieku wina tokajskie nie wyróżniały się specjalnie. A potem i to za sprawą Polaków! Na jesieni 1490 roku, po śmierci Macieja Sprawiedliwego, czyli Korwina, polski książę Adalbert zaatakował Tokaj, lecz nie udało mu się zdobyć warowni. Niemniej zabrał z tamtejszych piwnic około 3000 hektolitrow wina. Działania wojenne opóźniły winobranie w okolicy. I stał się cud: zebrane z miesięcznym opóźnieniem winogrona dały nieznany przedtem gatunek wina – wspaniałe tokaj samorodny i aszu.

Polska więc – jak widać – dosłownie walczyła przyczyniła się do powstania wspaniałego trunku. O zadomowieniu wina węgierskiego w Polsce zadbał handlarze, a nie wojenne działania. Co prawda w średniowieczu na terenach południowej Polski uprawiano winorośl, ale produkowane tam wino ani ilościowo,

ani jakościowo nie zaspokajało potrzeb. Polscy badacze dziejów właśnie na XV wiek datują upowszechnianie się w kraju picia wina gronowego. Wszechstronny pisarz i uczyony okresu renesansu Marcin Kromer wspomina w 1558 roku, że „wina, zwłaszcza w Małopolsce, sprowadza się z sąsiednich Węgier i Moraw, przy czym nie przeszkadza importowi cena”. Jegomościowi można wierzyć – sam pochodził z odgrywającego niezmiernie ważną rolę w obrocie węgierskim winem przygranicznego miasta Biecz. Z innych źródeł wiadomo, że nabywano zwykle wina stołowe, białe, czerwone, najważniejszym zaś uznaniem cieszyły się oczywiście tokajskie. Stary tokaj miał w Polsce renomę najlepszego wina na świecie i był nieraz dwukrotnie bardziej ceniony niż najlepsze wina francuskie. Szkoda tylko, że w naszej dobie to się zmieniło na niekorzyść węgierskiego wina, choć jakościowe porównania wytrzymują próbę czasu. Szczególnie jest to prawdą jeśli chodzi o tokajskie aszu, który szybko zrobił zawrotną karierę na świecie, jak świadczy o tym tytuł otrzymany na dworze „Króla Słońca”, władcy Francji Ludwika XIV, gdzie uznano, że tokaj jest „vinum regnum, rex vinorum”, czyli winem królów i królem win. Spożywanie wina – jak już wcześniej wspomnieliśmy – nie może być zwykłym upojeniem się, lecz powinno być raczej obrzędem, czynnikiem kultury i obyczajów. A takim czynnikiem stało się ono w Polsce, gdzie nawet stereotypowe powiedzenie o naszej tradycyjnej przyjaźni – znane zresztą w obu naszych krajach – „Polak, Węgier dwa bratanki, i do szabli, i do szklanki” wskazuje na ważną rolę wspólnego ucztowania przy winie. I to przy nie byle jakim, tylko węgrynie – Polacy chyba też nie przez przypadek mianowali osobną nazwą ten napój, mówiąc, że „nie ma wina nad węgryna”... Ale na tym jeszcze się nie kończy. W zbiorze polskich porzekadeł i powiedzeń możemy spotkać cały szereg „mądrości” związanych z Węgrami i winem węgierskim. Warto wziąć do serca na przykład to, że „kto węgierskie wino pije, po śmierci nie zgnije” lub



„stary węgryna dobry, ale stary kochanek diabła wart”. Na leżakowanie węgryna w Polsce wskazuje stwierdzenie, że „na Węgrzech wino się rodzi, a w Polsce dojrzewa”, znane też w łacińskiej wersji w kulturze szlacheckiej: „Hungariae natum, Poloniae educatum”. O losie zaś dojrzałego już trunku, który trafia do spragnionych gadeł mówi również podobna wersja, według której „wino na Węgrzech się rodzi, a w Polsce umiera”.

W jednym z powiedzeń charakteryzujących narody, Węgrom przypisuje się picie, a innym nacjom inne zalety: „w Polsce jeść, na Węgrzech pić, w Niemczech spać, we Włoszech się kochać.” Autor tego ostatniego musiał być gruntownie doświadczonej bywalcem w świecie, ale na pewno nie pytał o zdanie Węgrów o Polkach czy Polaków o Węgielkach.

„Rafał był szczęśliwy. Kieliszek starego węgryna, wypity gdzieś w ostatnim dworze w Górkach, Ossolinie czy Nasławicach, rzucił jego uczucia jakoby na ptasie skrzydła”. (S. Żeromski: Popioły)



Jest teraz jesień, pora na winobranie. Wydaje się, że trudno by szukać lepszej zachęty do uczestnictwa w nim, co możemy przeczytać u Béli Hamvasa, który w swojej cudownej książce pt. Filozofia wina (w świetnym przekładzie Tadeusza Olszańskiego) pisze, co następuje: „Każde wino posiada swoją własną indywidualność, podobnie jak człowiek. W każdym winie, w zależności od gatunku, rocznika, regionu, gleby, żyje niepowtarzalny i nieporównywalny swoisty duch. Jest on zmaterializowaną postacią eterycznych olejków. Maską. Każda część kobiecego ciała ma inny, charakterystyczny zapach, którego nie sposób pomylić. Dlaczego? Bo w każdej z tych części mieszka inny mały duszek. Wino jest napojem o spirytualnych, oleistych właściwościach. W każdym winie mieszka mały aniołek, który nie znika wcale po wypiciu wina, wprost przeciwnie, dołącza do wielu innych aniołków i rusalek, zamieszkujących w człowieku. Kiedy wychylamy kieliszek wina, wtedy owe istotki witaają anielskim chórem nowego przybysza i obypują go deszczem kwiecia. Człowieka ogarnia także płomień radości, ogarnia go serdeczność wobec świata. I dlatego właśnie twierdzę, że szklanecka wina to salto mortale ateizmu”. Sto lat, kochani!

To nie sztuka, stworzyć nowy ciuch, trzeba jeszcze sprawić, by miał duszę

Małgorzata Kledzik – Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Klasując się w czołówce absolwentów, ukończyła kierunek o specjalności: tkanina drukowana. Za sobą ma udziały i wyróżnienia w konkursach młodych projektantów w Łodzi. Zafascynowana Budapesztem przyjechała tu z własnego wyboru, aby zmierzyć się z wyzwaniami codziennego życia i tworzenia w kraju, który daje ogromne możliwości, ale równocześnie funkcjonowanie w nim przysparza też wielu trudności, np. komunikacyjnych czy kulturowych.

O swoich początkach w Kraju Bratanków, pierwszych projektach i pokazach, zgodziła się opowiedzieć Czytelnikom Głosu Polonii.

– *Gosiu, opowiedz jak znalazłaś się w Budapeszcie, dlaczego zdecydowałaś się przyjechać akurat tutaj?*

– Wszystko zaczęło się od wakacji. Zafascynowały mnie secesyjne budynki, przy których ogromie i dekoracyjności poczułam się taka mała. Przyciągnął mnie specyficzny klimat tego miasta. Był to pomysł mój i mojego chłopaka, wspólnie podjęliśmy tę decyzję, zadając sobie pytanie: „A dlaczego by nie?”

– *Zatem pozwól sobie zapytać, ponieważ wynika to z Twojej wypowiedzi: nie znalazłaś się tutaj w sposób standardowy, czyli przywieziona głosem serca i miłości do Węgry?*

– Wyjątkowo odbiegam od tej reguły. Ja i mój chłopak, który jest Anglikiem, wspólną miłością pokochaliśmy to miasto.

– *Co zmieniło się w Twoim życiu, od kiedy zamieszkałaś za granicą?*

– Właściwie mogę powiedzieć, że wszystko wywróciło się do góry nogami. Jest to obcy kraj, a zatem inna kultura, rzeczywistość, inni ludzie. Próbuje doszukiwać się jakichś cech wspólnych, przenosić i tworzyć elementy własnego domu. Jest to bardzo ciekawe, nowe doświadczenie. Poznają tu nowych ludzi, codziennie czegoś się uczy. Staram się zrozumieć tutejszy sposób myślenia i postrzegania świata.

– *Uczyś się języka węgierskiego?*

– Już przed przyjazdem tutaj uczyłam się sama. Jednak nawet, kiedy staram się go używać, to ludzie odpowiadają mi po angielsku, więc trudno jest się przełamać. Czasem potrzebna jest znajomość języka węgierskiego szczególnie, kiedy dochodzi do omawiania szczegółów w nawiązaniu współpracy. Sama wychodzę z założenia, że będąc w obcym kraju, powinienam znać, choć trochę jego język, jednak nie jest to łatwe. Nie mówię płynnie, więc powoduje to wiele niedomówień i śmiesznych sytuacji. Bywa i tak, że trzeba uciekać się do rysowania.

– *Wyjeżdżając z Polski musiałaś zerwać dawne kontakty. Jak wyglądało tworzenie wizerunku na nowo?*

– Właściwie to jestem dopiero co po studiach. Mogę powiedzieć, że pierwsze poważniejsze kroki stawiałam tutaj. Nawiązuję nowe znajomości, szukam kontaktów. Pomaga mi w tym krąg Polonii, instytucje, np. Instytut Polski. Od Polaków dowiedziałam się o różnego rodzaju możliwościach, od działających tu artystów usłyszałam m. in. o markiecie dla projektantów WAMP oraz o rozwijającym się markiecie w Gozdu Udvar. W moim środowisku spotykam wielu życzliwych ludzi, chętnych do pomocy. Odwiedzałam też z ulotkami i portfolio sklepy dla projektantów. Patrzyłam czy moje prace odpowiadają profilowi danego sklepu. W ten sposób też pozyskiwałam tu klientów.

– *Jak zaczęła się Twoja przygoda z projektowaniem?*

– Interesowałam się tym od dzieciństwa. Działo się to za sprawą mojej babci, która poprzez zabawę starała się zainteresować mnie sztuką krawiectwa. Zapoznawałam się z materiałami i wzornictwem. Początkowo interesowało mnie projektowanie ubiorów, jednak przez przypadek polecono mi studia o specjalności projektowanie tkanin drukowanych. Teraz udało mi się połączyć te dwie pasje, bowiem z zaprojektowanych przez siebie tkanin szyję stroje.

– *Jakie inspiracje czerpiesz z Budapesztu? W jaki sposób życie tutaj wpływa na Twoją twórczość?*

– Zawsze, gdziekolwiek jestem, staram się baczenie obserwować rzeczywistość i wyłapywać wszystkie, nawet najdrobniejsze detale. Obserwuję architekturę, naturę by później móc przenieść to na tkaniny. Nie rozstaje się z notatnikiem, czasem inspirację dają mi pozornie zwykłe, zmieniające się światła, innym razem obejrzone filmy, zaobserwowane sytuacje. Rejestruję szczegóły, szukam później sposobu zaadaptowania ich na tkaninę. Staram się tworzyć własną wizję tkaniny, a później znaleźć dla niej miejsce w zwykłej rzeczywistości. Tutaj nie narzekam na brak inspiracji. W zależności od miejsca, gdzie przebywałam, jakie uczucia budzi ono we mnie, projekty te bywają bardziej zgeometryzowane, surowe, podporządkowane pewnym regułom, czy też przeciwnie – są spontaniczne, pełne radości czerpanej z natury. Ostatnia kolekcja, zaprezentowana w Instytucie Polskim, jest



wynikiem spacerów po Budapeszcie. Własne uczucia wyraziłam przy użyciu pomysłów zaczerpniętych z natury posługując się secesyjną kreską.

– *Co jest przedmiotem Twojej twórczości?*

– Motywem przewodnim jest natura. Człowiek jest jej nieodłącznym elementem, a zatem również jego odczucia, emocje i ich zmienność. Sztuka doskonale odzwierciedla to, co dzieje się w nas, uwypukla różne stany, od napięcia, lęku poprzez

zadowolenie, radość, aż do szczęścia. Zmiana kolorystyki na tkaninie, to idąca za tym zmiana nastroju. Dla przykładu motyw kwiatu może wyrażać za każdym razem inne odczucia – smutku, wspomnienia, radości. Główne motywy w moich nadrukach to kwiaty, liście, owady, zwierzęta. Są one odpowiednio przerabiane dla potrzeb projektu i raz kwiat ten ma prostą formę, to znów, ozdabiany liniami, kreskami, kropkami itp. przeobraża się w inny motyw, całkowicie się zmienia. Przy projektowaniu stosuję graficzne środki wyrazu, ale dzięki technice sitodruku nabierają one malarskości. Kolorystyka, jaką stosuję jest różnorodna. Osobiście bardzo lubię czerń, z której jak z otchłani łatwiej wydobywa się drobne niuanse na projekcie. Czerń jest dostojnym i eleganckim kolorem, łatwo komponującym się z pozostałą gamą kolorystyczną. Oczywiście nie upieram się przy jednym kolorze, wszystko zależy od potrzeb danej chwili. Z kolorystyką jest tak, że czasem trzeba długo szukać odpowiedniego odcienia koloru dla uzyskania efektu, który powstał w mojej wyobraźni i bywa tak, że nie preferowany przeze mnie kolor różu staje się konieczny dla zrealizowania projektu.

– *Jakimi technikami głównie malujesz, a właściwie drukujesz?*

– Technika, którą się posługuję to sitodruk. Ze względu na efekty końcowe, można ją nazwać malarską, jednak głównie ma charakter graficzny. To właśnie bogactwo efektów sitodrukowych jest niesamowite i tak bardzo mnie fascynuje. Proces sitodruku jest dość długi, wymaga cierpliwości i precyzji. Składa się z kilku faz. Praca zaczyna się od zaprojektowania wzoru, później przerysowuje się go na folię. Następnie wzór ten zostaje naświetlony na sito przy użyciu emulsji światłoczułej. Po oczyszczeniu i osuszeniu sita można przystąpić do druku. Pierwsze druki często zmieniają całą koncepcję projektu, ponieważ wzór, będąc na tkaninie nabiera nowego charakteru. Intrygujące jest to, jaką różnorodność końcowego druku można uzyskać stosując różne farby i tkaniny.

Sitodruk tak bardzo mnie zafascynował, że zaraz po ukończeniu studiów, cały czas od czerwca do września spędziłam w drukarni. Uczelnia posiada fantastyczną pracownię, odpowiednie stoły do druku, sita, różnego rodzaju rakle do przeciągania farby, suszarnie, etc. Po prostu wymarzone miejsce dla mnie. Starałam się wykorzystać efektywnie czas spędzony na uczelni, projektując i eksperymentując z sitodrukami.

– *Na jakich tkaninach drukujesz?*

– Sitodruk można stosować właściwie na wszystkim: jedwabiu, bawełnie, lnieniu, poliamidzie, poliestrze. Należy tylko dobrać odpowiednie farby drukarskie, sita, rakle do druku. Jak w każdym fachu, wymaga to wiedzy i doświadczenia.

W moim przypadku do druku wybieram bawełnę, którą uważam za bardzo wielofunkcyjny i wdzięczny materiał. Tę o grubszym splocie i włóknie używałam do druku tkanin dekoracyjnych (np. ogromny rękaw, który został wykorzystany jako dekoracja pokazu w Instytucie Polskim). Do noszenia natomiast wybieram wersje cienkie i delikatne.

– *Wspomniałaś już o pokazie. Jakie to było dla Ciebie doświadczenie?*

– Z pewnością bardzo ciekawe. Towarzyszyły mu ogromne emocje i zdenerwowanie. Pokaz organizowany był w bardzo szybkim tempie. Bez przerwy pracowałam, projektując i szyjąc. Nie mogłam spać, nie tylko z powodu ilości pracy, ale i emocji. Jest to niesamowite wrażenie – zobaczyć swój projekt, nie tylko na papierze czy tkaninie, ale w rzeczywistości – na konkretnej osobie. Projektując formę ubioru z tkaniny staram się wyobrazić sobie wydrukowany na nim wzór. Czasem najpierw projektuję wzór na tkaninie, z której potem szyję ubranie, jednak bywa też odwrotnie. Zawsze staram się nie zakłócić formy ubioru na sylwetkę ze wzorem na tkaninie. To bardzo miłe uczucie pokazać innym swój projekt. To tak jak dziele-

nie się własnymi myślami, odczuciami i pomysłami. Było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie i bardzo dużo mnie nauczyło. Teraz już wiem jak to wygląda i mam cenne wskazówki na przyszłość.

– Jakie ubrania i akcesoria zaprezentowałaś?

– Ubrania od niedawna projektuję sama. Zaprezentowałam swoją letnią kolekcję sukienek, spódnic, bluzek i koszulek. Na pokazie nie przedstawiłam drobniejszych elementów, którymi zajmowałam się początkowo. Składają się na nie chusty, kieszenie wielofunkcyjne, nakładki na nogi i na buty oraz torby. Jednym słowem dodatki, które uzupełniają strój, nadają mu oryginalności i wyrazu.

– Masz jakichś artystów, którzy Cię inspirowują?

– Zafascynowana jestem okresem secesji, uważam go za okres najpiękniejszy w detale i dekoracyjność. Wszystko jest po prostu piękne, wysmakowane, elegancie, pełne wdzięku, jednym słowem: fascynujące. Są to artyści Szkoły w Glasgow, jak Charles Mackintosh, czy Victor Horta, Antonio Gaudi oraz cudowne malarstwo Gustawa Klimta, Alphonsa Muchy, przepiękne szkło Gallè i Tiffaniego. Podziwiam też indywidualność stylu Egon Schiele, jego pełną ekspresji kreskę. Można by tak wymieniać w nieskończoność nazwiska naprawdę wielkich artystów, którzy tworzyli wysoką sztukę. Teraz inspirowa, a ich dorobek zachęca do pracy.

– Gdzie na terenie Węgier można znaleźć Twoje kolekcje i projekty?

– Rzeczy są w sklepach projektantów Öltözö, Printa i Fregoli. Ubrania można znaleźć też na polskich stronach internetowych (Wylegarnia i Decobaazar). Wspólnie z moim chłopakiem prowadzimy też stronę internetową, na której można zobaczyć mój dorobek (martinherrick.com).

– Jakie masz plany twórcze na przyszłość, nad czym aktualnie pracujesz?

– Teraz, gdy już skończyłam i zaprezentowałam letnią kolekcję, myślę o zimowej. Jestem na etapie zbierania materiałów. Chciałabym nawiązać stałą współpracę z węgierskimi projektantami. Najbardziej interesuje mnie tkanina i w tym właśnie kierunku chcę nadal się rozwijać. Moim marzeniem jest własna pracownia i butik. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się osiągnąć. Jest to ciężka praca, ale myślę, że pierwsze ku temu kroki mam już za sobą. Pokaz był właściwie takim krokiem milowym, dał mi okazję zaprezentowania się przed większą grupą odbiorców.

– Jakie masz pasje i zainteresowania, poza projektowaniem?

– Fotografowanie – to pomaga mi też w zbieraniu materiałów. Malowanie obrazów, muzyka relaksacyjna, tworzenie grafiki warsztatowej. Oczywiście interesuję się światem mody.

– Nie czujesz się czasami osamotniona w Budapeszcie?

– Jak zawsze, w życiu w obcym kraju są momenty lepsze i gorsze. Czasami przy-



chodzą mi takie refleksje, że łatwiej by było żyć i tworzyć w Polsce. Szczególnie ze względów językowych, co pociąga za sobą nawiązywanie kontaktów. Tutaj jednak zawsze znajdują elementy godne obserwacji, to miasto bowiem tętni życiem. Nie jestem tu sama, mam bliskie mi osoby, mam kochanego kota, który jest bardzo indywidualną częścią tak bliskiej mi natury. Bywają jednak chwile, kiedy muszę, choć na parę dni, pojechać do Polski, odreagować, nabrać dystansu.

– Na koniec nasuwa mi się pytanie, które chciałabym zadać każdemu artyście. Robisz to, co lubisz, ale czy we współczesnym świecie można się z tego utrzymać?

– Samo to, niestety, nie wystarcza. Nie można poprzestać na robieniu tylko jednej rzeczy. Jest to zbyt mała skala, za mały zasięg. Poza tym tutaj brakuje mi pracowni i sieci kontaktów. Moja praca projektowa opiera się na pracy ręcznej tzn. biorę pióro, kawałek papieru i rysuję, przenoszę swoje myśli. Ma to swoje zalety, ponieważ daje mi osobisty kontakt z naturą i z samym projektem. Ręcznie przygotowane kalki do naświetlenia pozwalają zachować unikatowość wzoru, indywidualny styl i charakter. Jednak ma i wady, jak choćby szybkość wykonania projektu, a tym samym więcej pracy przy szerszym kręgu odbiorców. Ważne jest by robić to, co sprawia przyjemność i daje poczucie spełnienia.

– Co chciałabyś przekazać innym? Jakie masz refleksje ogólne na temat twórczości i życzenia na przyszłość?

– Chciałabym, aby ludzie doceniali własną twórczość – jej oryginalność, nieopowtarzalność, włożoną w to pracę. Często, kiedy widzą gotowy już projekt, nawet nie zastanawiają się nad tym, że twórca zostawił w nim cząstkę siebie, że ten niepozorny kawałek materiału ma swoją duszę. Autor dał tam coś od siebie, włożył w to swoje pasje. Nie jest to produkcja masowa, bez wyrazu. Jest to coś innego, nowego, coś, co wyróżni się spośród tłumu.

Moim życzeniem jest, aby ludzie to docenili. Nie jako kawałek płótna, który mają na sobie, ale jako coś, co projektant w pewien sposób pokochał, o każdy detal dbał z precyzją, dopracowywał szczegóły, nadał bezkształtowi wyraz i formę, w której zawarł swoje myślenie.

Jak każdy chyba artysta, mam swój sposób myślenia i postrzegania świata i właśnie nim chcę się podzielić z innymi, nie chcę zatrzymywać go tylko dla siebie. Muzyki, gdy stworzy swój utwór, towarzyszy nim innym ludziom w chwilowych nastrojach smutku i radości. To nie przypadek, że w danej chwili włączamy tę, a nie inną piosenkę. Podobnie jest z tym, co mamy na sobie – pokazuje to nasz nastrój, styl, pomaga czuć się wyjątkowym, wyróżnić się. I to właśnie chciałabym innym dać z siebie.

Tekst: Tatiana Szypulska
Zdjęcia: Martin Herrick

Węgierski znaczek pocztowy z okazji 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina

„Poczta Węgierska 18 czerwca 2010 roku wydała znaczek pocztowy z okazji 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina. Na znaczku widnieje podobizna Chopina, dom rodzinny w Żelazowej Woli, podpis oraz data urodzin i śmierci polskiego kompozytora. Wydana została także okolicznościowa koperta i pieczęć, których głównym elementem graficznym jest ukochany przez Chopina instrument – fortepian. Na kopercie okolicznościowej znajduje się sylwetka artysty siedzącego przy fortepianie, pieczęć to stylizowany rysunek dłoni artysty na klawiaturze fortepianu.

Znaczek o nominale 240 forintów został wydany w 350 tysiącach egzemplarzy. Zaprezentowany został po raz pierwszy 18 czerwca br. w Budapeszcie przy okazji uroczystego koncertu chopinowskiego w wykonaniu znanego węgierskiego pianisty Tamása Érdi”.

Tyle można było wyczytać z komunikatu prasowego budapeszteńskiego Instytutu Polskiego, do którego zwróciłam się z pytaniem dlaczego te unikatowe okazy filatelistyczne nie informują w żaden sposób, o tym, że Fryderyk Chopin był Polakiem. Uzyskałam jednoznaczną odpowiedź, że wyłącznym inicjatorem pomysłu i wykonawcą była poczta węgierska (Magyar Posta), a my – Polacy nad Dunajem możemy cieszyć się z faktu,

że chociaż w ten sposób upamiętniono naszego Rodaka... Faktycznie... Zdjęcie znaczka prezentujemy obok.

(b.)



Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej
1068 Budapest,
Városliget fasor 16.
tel.: 413-8200

Wydział Konsularny
1068 Budapest,
Városliget fasor 16.
tel.: 413-8200

**Ogólnokrajowy Samorząd
Mniejszości Polskiej na Węgrzech**
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 261-1798

**Stołeczny Samorząd
Mniejszości Polskiej na Węgrzech**
1054 Budapest, Akadémia u. 1-3.
tel.: 332-1979 fax: 302-5116

**Polskie Stowarzyszenie Kulturalne
im. J. Bema na Węgrzech**
1051 Budapest, Nádor u. 34. II. p.
tel.: 311-0216 tel./fax: 312-8204

**Stowarzyszenie Katolików Polskich
na Węgrzech pw. św. Wojciecha
i Dom Polski**
1103 Budapest, Óhegy u. 11.
tel./fax: 262-6908

Polska Parafia Personalna na Węgrzech
1103 Budapest, Óhegy u. 11.
tel.: 431-8414

**Szkoła Polska im. S. Petőfiego
przy Ambasadzie RP**
1025 Budapeszt, Törökvesz út 15.
tel./fax: 326-8306

**Ogólnokrajowa Szkoła Polska
na Węgrzech**
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 261-2748

**Muzeum i Archiwum
Węgierskiej Polonii**
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 260-8023

Instytut Polski
1065 Budapest, Nagymező u. 15.
tel.: 311-5856 fax: 331-0341

**Polskie Przedstawicielstwo Turystyczne
Oddział w Budapeszcie**
1075 Budapest, Károly krt.11
Tel. 2697809

Program radiowy:
Redakcja Polska „Magyar Rádió” RT
1800 Budapest, Bródy S. 3-5
„Magazyn Polski” – emisja
w każdą sobotę (13.30-14.00)
pr. MR4 (fałe średnie 873 i 1188 kHz)
oraz z: www.radio.hu

Polonijna strona internetowa:
www.polonia.hu



Wiadomości konsularne

Informujemy, że z dniem 11 lipca br. stanowisko **Kierownika Referatu Konsularnego Ambasady RP na Węgrzech objęła pani radca Anna Derbin.**

Oto szczegółowe dane adresowe:

REFERAT DS. KONSULARNYCH AMBASADA RP W BUDAPESZCIE

1068 Budapeszt Városligeti fasor 16.
Numery telefonów: (00 36 1) 413 8206
i (00 36 1) 413 8208.

Telefon dyżurny: (00 36) 20 4729502 poza godzinami pracy urzędu (pomoc konsularna w nagłych przypadkach)

Faks: + (36 1) 351 1725

E-mail: budapeszt.amb.wk@msz.gov.pl

www.budapesztkons.polemb.net

Godziny obsługi interesantów:

poniedziałek – 9.00 – 13.00,
wtorek – dzień bez przyjęć,
środa – 12.00 – 17.00,
czwartek – 9.00 – 13.00,
piątek – 9.00 – 13.00.

Referat ds. Konsularnych Ambasady RP w Budapeszcie informuje, że placówka dysponuje funduszami na wsparcie działalności polonijnej na Węgrzech. Są to fundusze pn. „Kolonie i obozy”, „Szkolnictwo i oświata”, „Kultura i sztuka”. Aby otrzymać wsparcie, organizacje polonijne powinny złożyć na ręce konsula RP odpowiedni wniosek wraz z uzasadnieniem i odpowiednimi dokumentami. Referat Konsularny – w miarę posiadanych środków – wspierać będzie ciekawe projekty. W sprawie szczegółów należy kontaktować się bezpośrednio z konsulem, Radcą Anną Derbin. Ponadto **do 30 września br.** przyjmowane będą propozycje wniosków o dofinansowanie działalności polonijnej w 2011 roku w w/w trzech obszarach.

Redakcja

INFORMUJEMY:

- W siedzibie PSK im. J. Bema na Węgrzech w każdą sobotę przed południem czynne jest polonijne przedszkole, do którego zapraszamy wszystkie dzieci od lat trzech do sześciu z Budapesztu i okolic.
- Program koncertów Chóru PSALMODIA w Budapeszcie:
19 września – godz. 10.30 – Kościół Polski
19 września – godz. 19.00 – Kościół Śródmiejski (V dz.)
22 września – godz. 19.00 – Bazylika św. Stefana



GŁOS POLONII

Kwartalny dodatek miesięcznika „Polonia Węgierska”, finansowany przez Fundację na rzecz Mniejszości Narodowych i Etnicznych, wspomagany finansowo przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” ze środków Senatu RP

A Polonia Węgierska negyedévi melléklete, főtámogató: a Magyarországi Nemzeti és Etnikai Kisebbségekért Közalapítvány, további támogató: LK Szenátus és a „A Keleten Élő Lengyelekért” Alapítvány

Pismo założone przez Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema na Węgrzech, Prezes Stowarzyszenia / Alapította a magyarországi Bem József Kulturális Egyesület, az Egyesület Elnöke:
Halina Csúcs

Wydawca: Ogólnokrajowy Samorząd Mniejszości Polskiej / Kiadja az Országos Lengyel Kisebbségi Önkormányzat

Redaguje Kolegium w składzie / szerkesztik: redaktor naczelna / főszerkesztő

Bożena Bogdańska-Szadai,
redaktor węgierski / magyar szerkesztő
András Benza-Romanowski Asztalos,
sekretarz redakcji / szerkesztőségi titkár
Magdalena Rajtar-Szabó,
redaktor graficzny / grafikai szerkesztő

Dukay Barna
Stali współpracownicy / főmunkatársak
Maria Agoston, Sárközi Edit, Szalai Attila,
Trojan Tünde

Współzałożyciel pisma, redaktor /
A lap egyik alapító szerkesztője:

Jerzy Kochanowski

Adres / szerkesztőség címe:
1051 Budapeszt, V. Nádor u. 34.,
tel.: 311-0216, fax: 312-8204,
e-mail: bem@bem.hu

ISSN 1219-7998
SERIART Nyomdaipari Stúdió Kft.